E M I L Z O L A

TA, CO MIĘ KOCHA



TA, CO MIĘ KOCHA..

TA, CO MIĘ KOCHA...

I

Jestże li Ta, co mnie kocha, wielkoświatową da=mą, strojną w jedwabie, koronki i klejnoty, w słod=kiem leżącą marzeniu na sofie w zacisznym bu=duarze? Jestże markizą lub księżną? Jestże sub=telną, zwiewną jak sen, w niemej tęsknocie trwają=cą? Powłóczyste białe jej suknie szeleszczą li po dywanach? Potrafiż stroić minki, cudniejsze nad uśmiechy anielskie?...

Jestże li Ta, co mnie kocha, strojną gryzetką, podkasującą się wysoko przy lada przejściu stru=myka, by smukłą nóżką wymowne zaloty palić? Jestże przeciętną dziewczyną, w jedwabie dziś, ju=tro w perkale odzianą, ze skarbów serca każdemu ziarnem uczucia usłużną?

Lub jasnowłosa jest to jaka dziecina, w sennej modlitwie u boku matki klęcząca? Może to spro=

śna dziewka, w nocnym pomroku ulic przechodnia napastująca? Czyli też to ogorzała może wieśniaczka, co w przejściu wzrokiem raz mię jedyny obrzuca, by unieść wieczne wspomnienie w głąb zbóż i źrałych winnic? Albo li biedną żebraczką jest ona tylko, w podzięce kornie schyloną za grosz jałmużny? Kobietą może, co już kochanka ma albo męża, za którą szedłem razu pewnego, aby jej odtąd nie ujrzeć więcej?

Jestże więc Ta, co mnie kocha, jasną jak jutrznia Europejką; czy córą Azji o cerze żółtawo-złotej, nakształt zachodu słońca; czy zaś mieszkanką pustyń, jak noc burzliwa czarną?...

Być może cierpi w pobliżu, tęskniąc, lub za morzami jej miejsce tajne, czy za obrębem gwiazd we wszechświecie byt swój nieznany wiedzie?..

Lub też narodzić ma się dopiero Ta, co mię kochać będzie, — czy zaś umarła może już ongi — przed stu zamierzchłych laty?..

II

Szukałem jej wczoraj na placu jarmarcznym. Przedmieście miało wygląd uroczysty, a tłumy, na⸗strojone odświętnie, w zgiełku kroczyły ulicami.

Zapalano iluminację. Ulice przybrane były żół⸗temi i niebieskiemi słupami ze słoikami, w których płonęły światełka, targane wiatrem. Wśród drzew jarzyły się lampjony weneckie. Płócienne namioty ogradzały chodniki, powiewając w ciżbie frendzla⸗mi czerwonych firanek. Złocony fajans, jaskrawej barwy cukierki, świecidła wystawowe — błysz⸗czały w ruchliwem świetle latarń.

W powietrzu unosił się odór kurzawy, płynęła woń świeżych pierników, zapach miodu. Kataryn⸗ki grały różne melodje, ubieleni mąką pajace par⸗skali śmiechem, to znów płakali naprzemian pod gradem policzków i kopnięć. Ciepły opar zwisał nad rozbawionemi tłumami.

U góry, nad oparami, ponad tym całym zgieł⸗kiem, rospościerały się letnie niebiosa o czystej melancholijnej głębi. Aniołowie oświetlili lazury

na cześć bożą, czyniąc odświętny w nieskończoności przestworzy pokój.

Zatracony w tłumie, czułem głębokie osamotnienie. Szedłem, obrzucając spojrzeniami młode dziewczęta, których uśmiechy mówiły w przelocie, że widzieć dano mi je po raz pierwszy i... ostatni zarazem. Myśl o tylu ustach, widzianych na chwilę i utraconych nazawsze, była mej duszy ciężką zmorą.

W ten sposób doszedłem do skrzyżowania ulic. Na lewo, przytulony do wiązu, wznosił się jakiś odosobniony namiot. Przód jego otwierała estrada, złożona z kilku niedopasowanych desek, wejście zaś, improwizowane zapomocą zwykłego odchylenia poły płóciennej, oświetlone było parą latarni.

Zatrzymałem się właśnie na chwilę, gdy na estradę wyszedł mężczyzna w stroju czarnoksiężnika, składającym się z czarnego płaszcza i stożkowatej czapki, usianej gwiazdami. Nieznajomy przemawiał do tłumu.

— Proszę tu! Proszę! Śliczni panowie, panienki cudne! — krzyczał donośnie. — Wpadłem ja do was na chwilę z Indjów, uciechą młode napełnić serca! Tam ci, pod grozą utraty życia, zdobyłem tajne Zwierciadło Uczuć, przez okropnego smoka strzeżone. Śliczni panowie, panienki cudne — spełnienie marzeń oto wam niosę. Dalejże, dalej!

chodźcie tu do mnie zobaczyć dzisiaj — Tę, co was kocha! Za dwa sous, tylko! Za dwa sous tylko — Tę, co was kocha!

Jakaś stara baba, ucharakteryzowana na bajaderę, uniosła płócienną połę. Bydlęcym wzrokiem spoczęła na tłumie, wtórując czarnoksiężnikowi tubalnym głosem:

— Za dwa sous, panowie, za dwa sous zobaczcie Tę, co was kocha! Chodźcie zobaczyć Tę, co was kocha!

III

Czarnoksiężnik na wielkim bębnie grzmocić po=czął jakąś hałaśliwą przygrywkę. Bajadera poma=gała mu akompanjamentem mosiężnych talerzy.

Tłum wahał się.

Zaiste bowiem np. uczony osioł, grający w kar=ty, wzbudziłby niewątpliwie żywe zaciekawienie; siłacz, podnoszący stufuntowe gwichty, stanowi zawsze widok, którego sobie odmówić niepodobna; nie da się również zaprzeczyć, że pół naga ol=brzymka jest niemal stworzona na to, by stać się miłą rozrywką, stosowną dla każdego wieku. Lecz widok „Tej, co nas kocha“, — to rzecz najmniej ciekawa, rzecz, nie budząca najsłabszej nawet emocji.

Z przejęciem słuchałem wezwania czarnoksięż=nika.

Zapowiedź zgodna była z marzeniem mego serca; w przypadku tym starałem się ujrzeć Opa=trzność, kierującą memi drogami. Nicpoń wyrósł szczególnie w mych oczach dzięki zdziwieniu, ja=

kie obudzić zdołał propozycją dania bezpośredniej odpowiedzi na me najskrytsze myśli. Zdawało się, że utkwił on we mnie wyłącznie swe płomienne oczy, waląc w olbrzymi bęben z djabelską furją i nawołując do wejścia głosem mocniejszym niż bicie dzwonu.

Postawiłem już nogę na pierwszej desce u wejścia, gdy nagle uczułem, że ktoś mię trzyma. Odwróciłem głowę, i ujrzałem jegomościa, który mię chwycił za odzież. Był to człowiek szczupły, wysokiego wzrostu: duże dłonie jego miały na sobie niciane, zbyt luźne rękawiczki, kapelusz był zrudziały, czarny frak — wytarty mocno na łokciach, opłakane zaś spodnie kaszmirowe — wyżółcone licznemi plamami i zaschłem błotem. W wytwornym, przydługim ukłonie jegomość złożył się niemal we dwoje, następnie zaś głosem uprzejmym podjął ot jaką przemowę.

— Czuję się dotkniętym nieco, — rzekł, — widząc jak dobrze wychowany młody człowiek służy tłumowi gorszącym przykładem. Lekkomyślnością jest niemałą zachęcać w ten sposób bezczelnego hultaja, który operuje wyłącznie na rozpalaniu najniższych instynktów. Gdyż, doprawdy, wezwanie jego, rzucone na cały głos młodzieży płci obojga, pobudzając tylko do wyuzdania i rozpusty, zdaje się być głęboko niemoralnem. Panie szanowny, lud nasz jest słaby, ułomny! Należy

się zastanowić nad tem, że my właśnie, ludzie oświeceni, mamy względem niego poważne i wysokie obowiązki. Nie pozwalajmy sprowadzać się z drogi niegodnym ciekawostkom, zostańmy raczej zawsze z całem względem nich lekceważeniem. Moralny poziom społeczeństwa od nas bowiem pośrednio zależy.

Cierpliwie wysłuchałem tej przemowy. Jegomość tymczasem trzymał mię wciąż za ubranie i trwał w lekkim ukłonie. Z kapeluszem w ręku, przemawiał tak spokojnie, że nie myślałem obrażać się wcale. Kiedy wreszcie umilkł na chwilę, obrzuciłem go tylko, zamiast odpowiedzi, powłóczystem spojrzeniem. W spojrzeniu tem znalazł prawdopodobnie nieme jakoby pytanie, rzekł bowiem jeszcze, chyląc się w nowym ukłonie:

— Tak, drogi panie, przed tobą stoi Przyjaciel ludu, którego celem — szczęście ludzkości!

Słowa te nieznajomy wymówił ze skromną dumą, prostując nagle zgiętą sylwetkę. Odwróciłem się i — wstąpiłem na estradę. Wchodząc już przez uniesioną połę płócienną, spojrzałem nań raz ostatni. Ujął delikatnie prawą ręką palce lewej dłoni, prostując zmarszczki rękawiczki, grożącej zupełnym zesunięciem się ze swego miejsca.

Następnie, zakładając ręce na piersi, Przyjaciel ludu uprzejmie przyglądał się bajaderze.

IV

Opuściłem za sobą uchylone płótno, i znalazłem się w czarodziejskim przybytku. Był to rodzaj podłużnego pokoju niewielkich wymiarów, o ścianach płóciennych, oświetlony jednym kinkietem i pozbawiony nawet krzesełka. Kilkanaście osób, dziewcząt i mężczyzn, zebrało się już, czyniąc harmider. Wszystko szło jednak z zachowaniem zupełnej przyzwoitości, albowiem linka, przeprowadzona przez środek namiotu, dzieliła mężczyzn od kobiet.

Prawdę mówiąc, „Zwierciadło Miłości" było poprostu dla każdej strony oprawną w płóciennej ścianie okrągłą szybką, z widokiem na mroczne wnętrze reszty namiotu. Obiecane czary odbywały się z podziwu godną prostotą: dość przyłożyć prawe oko do okienka, aby ujrzeć ukochaną swoją bez żadnego asortymentu grzmotów, zaklęć ani odoru siarki. I jakże tu nie wierzyć w tak naturalne zjawisko?

Nie odważałem się jednak jakoś spojrzeć. W przejściu bajadera obrzuciła mię wzrokiem, przejmującym mrozem do szpiku kości. Trudno przewidzieć, co się tam ukaże człowiekowi za ową szybką... A nuż jakieś okropne oblicze o zgasłych źrenicach i sinych wargach, lub jaki wampir, chciwy krwi młodej, jeden z tych niekształtnych tworów, jakie czasami nawiedzały me senne marzenia. Przestałem nagle wierzyć w istnienie złotowłosych istot, któremi tak hojnie zaludniam świat w godzinach samotności. Przywoływałem na pamięć wszystkie poczwary, jakie kiedykolwiek miały okazje zaszczycić mię swoją sympatją i z przerażeniem zadawałem sobie pytanie, czy nie wypadnie mi właśnie ujrzeć którejkolwiek z nich.

Usunąłem się do kąta.

Aby nabrać odwagi, jąłem prowadzić badania tych, którzy, snać śmielszej odemnie natury, zasięgali rady losu bez zbytnich ostrożności. Uczułem też niebawem szczególną uciechę na widok różnorodnych postaci o prawem oku szeroko, zapewne, rozwartem, podczas gdy lewe zamknięte, przytrzymywane było dwoma palcami. Stosownie do tego, czy przedmiot widzialny z mniejszem lub większem patrzącego spotykał się uznaniem, twarze przybierały odrębny odcień uśmiechu. Ponieważ szybka umieszczona była cokolwiek za nisko, należało się do niej schylać. I nic nie wy-

dało mi się równie komicznem, jak ci mężczyźni, idący kolejką zobaczyć siostrzane dusze przez dziurę, średnicy zaledwie kilku centymetrów.

Na pierwszy ogień poszło dwuch żołnierzy: ogorzały na afrykańskiem słońcu sierżant i młody rekrut, od którego zalatywało jeszcze rolą i który nie mógł sobie znaleźć miejsca we własnym szy=nelu, uszytym na trzykroć, conajmniej, tęższego odeń chłopa. Sierżant uśmiechał się sceptycznie. Rekrut zaś czas dłuższy pozostał u otworu, szcze=gólnie widać olśniony faktem istnienia nieznanej sobie kochanki.

Zastąpił go oto otyły jegomość w białej kami=zelce o twarzy rumianej i pucołowatej, pozbawio=nej wszelkiego wyrazu radości lub niesmaku, tak jakby uważał za całkiem naturalne, że jest przez kogoś kochany.

Po nim szło trzech uczni w wieku lat piętnastu lub szesnastu, o minach aroganckich, szturchają=cych się umyślnie, aby zaznaczyć, że mają honor być pijani. Wszyscy trzej zaklinali się następnie na czem świat stoi, że przez szybkę widzieli swe rodzone ciotki.

Tak oto ciekawi szli jeden po drugim, i dziś już nawet nie umiałbym sobie przypomnieć do=kładnie różnorodnych wyrazów twarzy, któremi naówczas byłem uderzony. O, wizjo ukochanej! jakże surową prawdę ukazywałaś rozwartym sze=

roko oczom. Oczy te były dopiero prawdziwemi „Zwierciadłami Uczuć", lustrami, w których wdzięk kobiecy odbijał się mętnym blaskiem, lu= bieżność zaś w głupiem spojrzeniu się kryła.

V

W drugim czworoboku dziewczęta bawiły się nieco szlachetniej. Z twarzy ich wyczytać mogłem tylko znaczną dozę ciekawości. Ani kropli wstrętnego łakomstwa, najmniejszej zdrożnej myśli. Jedna za drugą szły rzucić przez wąską szczelinę zdumione wejrzenie i odchodziły, bądź zamyślone lekko, bądź szalonym wybuchając śmiechem.

Właściwie nie zdaję sobie jasno sprawy, — poco one przyszły. Gdybym był bowiem kobietą, najmniejszej choćby urody, nie zaświtałby mi nigdy w głowie głupi pomysł ujrzenia mężczyzny, co mię kocha. Dni, kiedy serce me opłakiwało swoją samotność, dni te, powiadam, były dniami pogody i wiosny, kiedy, idąc drogą kwiatami usłaną, podziwiać mogłem dowolnie każdą spotkaną dziewczynę. Wieczorem zaś wracałem zwykle pełen serdecznych wzruszeń.

Zapewne, nie wszystkie skupione tu ciekawskie jednaką poszczycić się mogły urodą. Piękniejsze z ich grona śmiały się tylko ze sztuczki czarodzie-

ja, którego pomoc zupełnie im była zbyteczną. Brzydkie zato oddawna nie mogły przypomnieć sobie podobnej uciechy. Jedna z nich, o rudych włosach i wielkich ustach, nie dała się poprostu oderwać od „Czarodziejskiego Zwierciadła“. Na twarzy jej płonął ucieszny, choć bolesny zarazem półuśmiech, radość biedaka, mogącego po długiej wstrzemięźliwości nasycić wreszcie swój zastarzały głód.

Zadawałem sobie pytanie: jakież to myśli budziły się teraz w tych lekkomyślnych główkach? Sprawa nie łatwa do rozwiązania. Każda z nich z wszelką pewnością widziała już niegdyś w marzeniach u kolan swych księcia, każda pragnęła zatem poznać bliżej kochanka, którego mgliste jedynie ze snu wyniosła wspomnienie. Niemało też było zawodów, zważając, zwłaszcza, jaką rzadkością są dziś książęta, jak również to, że w nocy oczy nasze widzą zazwyczaj świat stokroć piękniejszy aniżeli we dnie. Czasami wszakże oblicze pałało radością niekłamaną: marzenie spełniło się bowiem; przyszły kochanek miał mały wąsik, a głowę jego zdobiła gęsta czarna czupryna.

Każda więc z dziewczyn chwil parę żyła miłością. Przechodziła naiwny romansik, romansik znikomy jak sama nadzieja, który odgadnąć było nie trudno z lekkiego rumieńca na twarzy i mocniejszego falowania biustu.

Pomimo wszystko, dziewczyny te musiały być ciężko głupie, co również w całej rozciągłości odnosić się mogło i do mnie, tracącego tyle czasu na bzdurstwo, nie warte spojrzenia. W każdym razie doznałem zupełnego rozczarowania. Spostrzegłem, że zarówno mężczyźni jak i kobiety, zdawały się być naogół mocno zadowolone tem widowiskiem. Czarodziej przecież nie miałby serca przysporzyć najmniejszego choćby rozgoryczenia zacnym istotom, które dawały mu zarobić po dwa sous od osoby.

Poszedłem więc wreszcie i ja przyłożyć do szybki prawe oko. Ujrzałem niewiastę, wspartą o poręcz fotela, w obramowaniu czerwonej kotary. Oświetlenie urządzono zapomocą ukrytej lampy, jako tło zaś służyła rozpięta w głębi dekoracja teatralna. Dekoracja ta, rozdarta miejscami, wyobrażać miała niegdyś wytworną grupę zamglonych drzew.

Ta, co mię kocha, przybrała się, na podobieństwo kobiet lepszego urodzenia, w długą, białą, powłóczystą suknię, lekko przewiązaną w pasie i rozpostartą na podłodze nakształt obłoku. Twarz przesłaniał jej zwieszony szeroki, biały również, przejrzysty welon, spięty na głowie mirtowym wiankiem. Odziana w ten sposób, anielska ta istota wyglądała jak sama niewinność.

Wsparta zalotnie na fotelu, zwrócone miała na mnie duże, błękitne, pieszczotliwe oczy. Woal czynił ją prześliczną, jasne loki gubiły się w muślinach, oblicze pełne dziewiczej niewinności, usta delikatne, na policzkach dołki — miejsca pocałunków. Na pierwsze wejrzenie wziąłem ją za świętą, następnie zaś — ujrzałem tylko przyzwoitą i dobrze włożoną do roli dziewczynę.

Ta, co mię kocha, podniosła trzy palce do ust i przesłała mi pocałunek, z ukłonem, który nie posiadał w sobie nic nieziemskiego. Widząc, że nieznajoma nie ma zamiaru uchylić welonu, utrwaliłem raz jeszcze w pamięci rysy jej twarzy i skierowałem się ku wyjściu.

Na odchodnem już, ujrzałem we drzwiach Przyjaciela ludu. Poważny moralizator, zdający się teraz unikać mnie, śpieszył dać osobiście zły przykład niezdrowej ciekawości. Długa jego sylwetka, zgięta w pałąk, drżała pożądaniem; nie mając możności posunąć się dalej, ucałował tylko magiczne szkiełko.

VI

Zeszedłem z trzech desek i znalazłem się napowrót w tłumie z mocnem postanowieniem odszukania Tej, co mnie kocha, teraz zwłaszcza, gdy uśmiech jej nie jest mi już obcy.

Lampjony kopciły, zgiełk zwiększał się co chwila, tłum napierał zewsząd, grożąc obaleniem namiotów. Uroczystość przybierać poczynała o tej porze takie rozmiary, że człowiek narażał się na możliwość uduszenia.

Stając na palcach, obejmowałem wzrokiem widnokrąg płóciennych i jedwabnych kapeluszy. Kroczyłem naprzód, potrącając mężczyzn, omijając uważnie luźne spódnice kobiet. Może to właśnie ona w tem różowem okryciu, lub ta w tiulowym stroju, przybranym żółtemi wstążkami, ozdobionym strusiem piórem?...

Niestety! Różowe okrycie zdobiło postać sześćdziesięcioletnią, strój tiulowy — wstrętną brzydotę, czule wspartą na ramieniu jakiegoś sapera, toczek zaś chichotał na cały głos, mogąc poszczycić

się najpiękniejszemi na świecie oczyma, które jednak nie miały żadnego podobieństwa do oczu Tej, co mię kocha...

Nad tłumem unosi się zwykle nieokreślony niepokój, olbrzymi smutek, jakgdyby ciżba zionęła nieznacznie oddechem grozy i litości zarazem pełnym. Nigdy nie zdarzyło mi się znajdować w wielkiem zbiorowisku ludzkiem bez uczucia chorobliwego niepokoju. Zdaje mi się zawsze, jakby nieznane straszliwe nieszczęście wisiało nad zwartą masą tłumu, że jednej błyskawicy starczy, aby całe to podniecenie gestów i krzyków pokryć niezwłocznym bezwładem i wiekuistem milczeniem.

Stopniowo zwalniałem kroku, kontemplując powszechne rozbawienie, które raniło mię poprostu. U stóp pewnego drzewa, oblany pełnią żółtego światła lampjonów, tkwił sztywno stary żebrak o postaci haniebnie skręconej paraliżem. Podnosił ku przechodniom blade oblicze, błagalnie zerkając oczyma w celu wzbudzenia większej litości. Nadawał członkom swym niespodziane drgawki febryczne, które trzęsły całą postacią, jak suchym konarem. Rumiane, świeże dziewczęta w chichotach omijały ten wstrętny widok.

Cokolwiek dalej, u wejścia do kabaretu biło się dwuch robotników. Wywrócono szlanki, a wylane na chodnik czerwone wino, płynęło niczem krew z wielkich otwartych ran.

Wydało mi się wówczas, że śmiech przechodzi w łkanie, światła goreją olbrzymim pożarem, tłum zaś zawraca, rażony lękiem. Odszedłem śmiertelnie smutny, badając jeszcze napróżno młode oblicza, znaleźć nie mogąc Tej, co mnie kocha...

VII

Przy jednym ze świeczników iluminacyjnych spostrzegłem człowieka w głębokiej zadumie. Wejrzenie to dało mi do zrozumienia, że człowiek ów usiłował rozwikłać jakieś poważne pytanie. Był to Przyjaciel ludu.

Ujrzał mię, odwracając właśnie głowę.

— Wie pan, — rzekł, — że oliwa, płonąca tu, kosztuje po dwadzieścia sous za litr. Litr zaś wypełni dwadzieścia takich oto słoików, czyli na każdy przypada za jeden sous oliwy. Niniejszy świecznik składa się z szesnastu rzędów po ośm słoików każdy, ogółem więc sto dwadzieścia ośm sztuk. Dalej, niech pan zważyć tylko raczy, w alei naliczyłem sześćdziesiąt podobnych świeczników, co, razem wzięte, czyni siedm tysięcy sześćset ośmdziesiąt sous, to jest trzysta ośmdziesiąt cztery franki.

Mówiąc te słowa, Przyjaciel ludu gestykulował bez przerwy, akcentując mocniej liczby, zginając wysoką postać, jakgdyby pragnąc zniżyć się na

miarę mego słabego pojmowania. Wreszcie umilkł, poczem odchylił się tryumfalnie w tył, skrzyżował ramiona na piersiach i spojrzał mi prosto w oczy przenikliwym wzrokiem.

— Za trzy-sta ośm-dzie-siąt czte-ry franki oliwy! — zawołał, skandując na każdej sylabie.

— A biedny naród nie ma tymczasem za co chleba sobie kupić, mój panie! Pytam, pytam ze łzami w oczach, czy nie szlachetniej byłoby z punktu widzenia samej ludzkości — rozdać te trzysta ośmdziesiąt cztery franki pomiędzy trzy tysiące potrzebujących, które liczy niniejsze przedmieście? Miłosierny ten uczynek pozwoliłby każdemu z nich kupić sobie mniej więcej za dwa i pół sous chleba. Myśl tę rzucam do rozważenia sercom wrażliwym na nędzę, szanowny panie.

Widząc zaś, że patrzę nań ciekawie, słabnącym głosem prowadził rzecz swą dalej, poprawiając ciągle na rękach przyluźne rękawiczki.

— Bieda nie powinna wiedzieć nawet co to śmiech, proszę pana. Jest to wprost nieuczciwie zapominać o swem ubóstwie przez jednę bodaj godzinę. Któż więc litować się będzie nad nieszczęściem ludu, jeśli rząd urządzać pocznie częściej tego rodzaju saturnalje?

Tu Przyjaciel ludu osuszył łzę i oddalił się. Ujrzałem jak wstąpił niebawem do szynku, gdzie wzruszenie swe zalał pięciu czy sześciu kieliszkami, wychylonemi jeden po drugim.

VIII

Dogasały już ostatnie lampjony. Tłumy rozchodziły się zwolna. Przy chwiejnym płomieniu latarń dostrzec można było wreszcie tylko pojedyńcze tajemnicze cienie, snujące się pod drzewami, spóźnione pary zakochanych, pijaków lub przedstawicieli policji na melancholijnym spacerze. Łańcuch baraków ciągnął się po obu stronach ulicy milczący i szary, ni to namioty opuszczonego pobojowiska.

Wilgotny wietrzyk przedporanny poruszał lekkiem drżeniem liście wiązów. Zepsute wyziewy wieczoru rozpraszały rozkoszne podmuchy. Łagodna cisza, przejrzysty mrok nieskończoności wolno płynął z głębiny niebios, — i święto lampjonów ustępowało miejsca świętu gwiazd. Zacni ludziska mogli nareszcie cokolwiek odpocząć.

Poczułem się znacznie lepiej, nadeszła i dla mnie godzina radości. Dużemi krokami chodziłem tu i tam ulicami miasta, gdy niespodzianie oczy me uderzył widok jakiejś szarej postaci, sunącej

pod murem. Postać ta szybko zbliżała się, nie dostrzegając mnie wcale. Z lekkości kroków, jak również z rytmicznego falowania odzieży przekonałem się, że była to kobieta.

Mijając mię już, podniosła instynktownie wzrok. Oblicze jej rozjaśnił blask sąsiedniej latarni, — i otóż poznałem Tę, co mię kocha. Nie była to już owa niewinność w białym obłoku muślinów, lecz uboga dziewczyna, zwyczajna córa ziemi, odziana w wypełzłą perkalową sukienkę. W ubóstwie swem wydała mi się, mimo bladości i widocznego znużenia, dość powabną. Nie było co dłużej wątpić: te same wielkie oczy, pieszczotliwy wyraz ust. A z tem wszystkiem nieznaczna odległość ukazywała jeszcze całą łagodność rysów, jaką twarzy nadaje cierpienie.

Korzystając z chwilowej niepewności dziewczyny, chwyciłem jej rękę i wycisnąłem na niej gorący pocałunek. Uniosła głowę, uśmiechnęła się niepewnie, nie usiłując bynajmniej uwolnić dłoni. Widząc zaś milczenie moje, powodowane wzruszeniem, które nagle ścisnęło mi gardło, dziewczyna wzruszyła ramionami i szybkim krokiem udała się naprzód.

Pobiegłem, starając się dotrzymać jej kroku i opasałem ramieniem wiotką kibić. Ta, co mię kocha, uśmiechnęła się w milczeniu, następnie rzekła zcicha, wstrząsana dreszczem:

— Zimno mi, idźmy trochę prędzej.

Anielska istota! Biedactwo przejmował chłód! Ramiona jej, osłonięte cienkim czarnym szalem, drżały poprostu na zimnem nocnem powietrzu. Objąłem ją, pytając tkliwie:

— Nie poznajesz mnie?

Podniosła wówczas oczy po raz trzeci i odparła bez żadnego wahania:

— Nie.

Nie wiem już co za błyskawiczna myśl przeszyła mnie wówczas, lecz zadrżałem.

— Gdzie idziemy? — spytałem.

— Wzruszyła lekko ramionami i rzekła głosem dziecinnym, strojąc bezradną minkę:

— Gdzie chcesz. Do mnie, czy do ciebie — wszystko jedno.

IX

Szliśmy więc dalej.

Na pewnej ławce uwagę mą zwróciło dwuch żołnierzy, z których jeden wykładał coś z namaszczeniem, podczas gdy drugi słuchał w milczeniu pełnem uszanowania. Byli to: sierżant i popisowy. Sierżant w rozczuleniu salutował mię ironicznie, bełkocząc:

— Bogaci zasilają czasem uboższych drobną pożyczką, szanowny panie...

Popisowy, istota niezawodnie równie wrażliwa jak naiwna, zwrócił się do mnie zbolałym głosem:

— Jednę Ją tylko miałem na świecie, o, panie! Wydzierasz mi Tę, co mię kocha!

Przeszliśmy na drugą stronę ulicy.

Zbliżało się jakichś trzech urwisów, którzy śpiewali na całe gardło, trzymając się pod rękę. Poznałem w nich uczni z czarodziejskiego namiotu. Malcy nie mieli teraz już potrzeby udawać pijanych. Przystanęli, parskając śmiechem; kiedy zaś wyminęliśmy ich, zawrócili parę kroków, drąc się rozbitym głosem:

— Panie, panie, osóbka oszukuje cię, to jest Ta, co mnie kocha!

Uczułem jak zimny pot poczyna zraszać mi skronie. Przyśpieszyłem kroku, myśląc tylko o ucieczce, niepomny nawet dziewczyny, która trzymała mię pod ramię. Przy końcu ulicy, opuszczając już wreszcie przeklętą dzielnicę, wpadłem na jakiegoś jegomościa, który rozsiadł się najwygodniej w rynsztoku. Głowę opartą miał wprost o płyty chodnika i w ten sposób, z twarzą zwróconą ku niebu, nieznajomy oddawał się skomplikowanej rachubie na palcach.

Po chwili jegomość zwrócił na mnie uwagę i, nie opuszczając na chwilę nawet wygodnego stanowiska, podjął bełkoczącym głosem:

— A, to pan, łaskawco. Czy nie mógłbym prosić pana o pomoc przy liczeniu gwiazd? Narachowałem ich już kilka miljonów, obawiam się tylko, żeby której nie przeoczyć. Statystyka bowiem jedna zdoła może jeszcze zapewnić szczęście ludzkości, mój panie.

Przerwał mu turkot pojazdu. Po chwili podjął płaczliwie:

— A wie pan, ile mniej więcej kosztuje jedna gwiazda? Najwyższy Stwórca porządny poniósł na nie wydatek, tymczasem oto ludziom brakuje na chleb powszedni! Na co się zdały te lampjony? Czy się kto niemi nakarmi? powiedz mi pan z łaski

swojej, jakie jest ich zastosowanie praktyczne? Ta wieczna uroczystość potrzebna nam akurat jak dziura w moście! Tak, panie, Bóg nie miał nigdy najmniejszego pojęcia o ekonomji socjalnej.

Mówcy udało się wreszcie usiąść. Czas jakiś błądził naokół strapionym wzrokiem, kiwając głową z wyrazem ubolewania. Wówczas dopiero spostrzegł mą towarzyszkę. Zadrżał i, oblany rumieńcem, wyciągnął ku niej pożądliwe dłonie.

— He, he, — rzekł, — toż to jest przecie Ta, co mnie kocha!

. . . .

— Widzisz, — zwróciła się do mnie, — jestem niezamożna, zarabiam więc jak mogę. Ostatniej zimy pracowałam piętnaście godzin na dobę, pochylona przy robocie, a nie zawsze starczyło mi nawet na chleb powszedni. Na wiosnę rzuciłam szycie do licha. Znalazłam akurat zajęcie mniej nużące, więcej zato popłatne.

Co wieczór ubieram się w strój z białego muślinu. Całem mojem zadaniem jest uśmiechać się ustawicznie, od szóstej popołudniu do północy. Od czasu do czasu składam ukłon i posyłam pocałunek w próżnię. Płacą mi za to trzy franki dziennie.

Naprzeciw mego fotelu widzę wciąż przez małą szybkę, oprawną w przegrodzeniu, jakieś oko, pa-

trzące na mnie uważnie. Oko bywa to czarne, to znów niebieskie. Bez tego oka byłabym zupełnie szczęśliwa, psuje mi ono cały fach. Chwilami na widok utkwonego w sobie spojrzenia takiego pojedyńczego oka, opanowuje mię szalony lęk, — gotowa jestem niemal krzyczeć wniebogłosy i uciekać gdzieś, — byle dalej!... Muszę jednak zarabiać na utrzymanie! Uśmiecham się więc, składam ukłony, przesyłam pocałunki. O północy zmywam ruż z twarzy i ubieram się napowrót w perkalową sukienkę... Ba, ileż to kobiet bez najmniejszej potrzeby robi podobne komedje przed lustrem?...

RAMIONA MARGRABINY

I

Margrabina spoczywa w olbrzymiem łożu, osłoniętem żółtemi jedwabnemi firankami. Kiedy zegar bije godzinę dwunastą, margrabina, zbudzona czystym metalicznym dźwiękiem uderzeń, przeciera oczy.

Pokój jest wyjątkowo zaciszny. Dywany, kotary, któremi zawieszone są drzwi i okna, tworzą zeń miękkie gniazdko, niedostępne dla zimna. Ciepłe powiewy woni snują się w tem ustroniu, królestwie wiecznej wiosny.

Trzeźwiejąc stopniowo, margrabina wpada w lękliwy niepokój. Zrzuca szybko nakrycie i dzwoni na Julję.

— Pani dzwoniła?

— Jakże tam, mamy już odwilż?

Zacna margrabina! Jak wzruszonym głosem zadaje to pytanie! Jej pierwsza myśl zwraca się ku nieznośnej atmosferze, niepokoi ją wicher północny, którego bezpośrednio nie wyczuwa, lecz który, niemniej, dąć musi przeraźliwie po

stancjach ubogiej ludności. Pyta więc, czy niebo zmiłowało się już i czy może zażywać rozkosznego ciepła swych apartamentów bez wyrzutów sumienia, jakie daje świadomość o nędzy tych wszystkich, co muszą z zimna szczękać zębami.

— Czy mróz już zelżał, Juljo?

Pokojówka podaje margrabinie poranny *peignoir*, który ta ogrzewa przed kominkiem.

— Nie, proszę pani, nie zelżało. Przeciwnie, mróz bierze coraz tęższy... Na omnibusie znaleziono nawet jakiegoś człowieka zmarźniętego na śmierć.

Margrabiną owłada nagle dziecięca radość, — klaszcze więc w dłonie, wołając:

— Tem lepiej! popołudniu idę na ślizgawkę.

II

Julja wolniutko podnosi rolety, aby uchronić wydelikacony wzrok margrabiny od gwałtownego światła.

Błękitny odblask śniegu wypełnia pokój. Nie=bo jest szare, pięknej barwy perłowej, zbliżonej do jedwabnego stroju margrabiny z wczorajsze=go balu ministerjalnego. Strój ów przybrany był białą gipiurą, podobną bardzo do smużek śniegu, rysujących się u skraju dachów na bladem tle niebios.

W blasku nowych klejnotów, margrabina wy=glądała wczoraj prześlicznie. Udała się na spo=czynek dopiero o piątej rano. Nic dziwnego, że głowa jej cokolwiek cięży.

Margrabina siada przed lustrem, a Julja unosi jej jasną falę włosów. Peignoir osuwa się z ra=mion głęboko obnażonych.

Na podziwianiu wdzięku tych ramion zesta=rzała się już cała generacja. Od chwili, kiedy lek=komyślnym paniom dozwolono w pałacach tuille=

ryjskich na dekolt i tańce, — margrabina obno-siła ramiona swe w ciżbie salonów urzędowych z wytrwałością, która uczyniła z niej żywy wzór urody drugiego cesarstwa. Stosując się do mody, zmuszona była wycinać suknie raz aż po samo piersi, to znów tylko zlekka na szyi. W ten spo-sób piękność nasza ukazać mogła kolejno wszyst-kie skarby biustu. Niema tam już od pleców do piersi najmniejszego szczegółu, któryby był nie-znany jakiejś dzielnicy, od Magdaleny po Ś-go Tomasza z Aquinu.

Szeroko rozwarte ramiona margrabiny są za-prawdę rozkosznym herbem rządu.

III

Właściwie opisywać ramiona margrabiny niema potrzeby, gdyż zdobyły one sobie popularność nie mniejszą niż Pont Neuf. W ciągu ośmnastu lat brały przecież udział w spektaklach publicznych. Wystarczy tylko dostrzec najmniejszy ich rąbek w salonie, teatrze, czy gdziekolwiek indziej, aby szepnąć:

— „Patrz, margrabina! poznaję ją po ciemnej plamce na lewem ramieniu“.

Piękne to są jednak ramiona: śnieżno białe, pełne, wyzywające. Spojrzenia całej dynastji przeszły po nich, szlifując je wkońcu na podobieństwo deptanych ustawicznie nogami tłumów... posadzek.

Gdybym był mężem lub kochankiem margrabiny, wolałbym raczej ucałować szlaną klamkę w gabinecie ministerjalnym, którą wytarły dłonie interesantów, niżeli dotknąć ustami tych ramion, po których spłynął już gorący oddech całego wykwintnego Paryża. Gdy człek pomyśli o tysiącz

nych namiętnościach, rozedrganych na widok tych ramion, cisnąć się poczyna na usta nieodparte py-tanie: z jakiej gliny ulepiła je natura, iż oprzeć się mogły zniszczeniu i szczerbom, właściwym nawet posągom, zdobiącym ogrody publiczne, którym wiatry zżerają zczasem powierzchnię?

Odkładając na stronę wszelką wstydliwość, margrabina z ramion swych uczyniła poprostu in-stytucję publiczną.

Jakże sumiennie bojowała margrabina o powo-dzenie frakcji politycznej, która umiała sobie za-pewnić jej przychylność! Zawsze na posterunku, wszędzie obecna, w Tuillerjach, u ministrów, w ambasadach, czy u zwykłych miljonerów, — margrabina, walcząc z opornemi potęgą uśmie-chów, — wspiera tron swemi alabastrowemi pier-siami, umiejąc w dniach niebezpieczeństw złożyć na szali najtajniejsze, sekretne skarby wdzięków, których potęga większą jest, niż moc żołnierskich pałaszy; potrafiąc dla zdobycia potrzebnego gło-su... zrzucić ostatnią ze siebie koszulkę, byle naj-bardziej zawzięta nawet opozycja uznała się wkońcu za zwyciężoną.

Ramiona margrabiny z walk tych wychodziły zawsze zwycięsko. Dźwigały świat cały, nie rysu-jąc marmurowej bieli swej najmniejszą nawet zmarszczką.

IV

Popołudniu margrabina udała się na ślizgawkę w przepięknym kostjumie polskim. Ślizga się znakomicie.

W lasku zimno było jak w psiarni. Wiatr szczypał w nos i usta, rzucając w twarz jakby miałkim piaskiem. Margrabinę cieszył ten zabawny mrozik. Od czasu do czasu grzała sobie nogi u ognisk, rozpalonych na skraju małego stawu, poczem, oddając się ulubionemu sportowi, sunęła na podobieństwo jaskółki, w lekkich zwrotach ledwo muskającej powierzchnię ziemi.

Co za szczęście, że mróz nie zelżał. Będzie można przynajmniej tydzień jeszcze używać ślizgawki!

Wracając do domu, margrabina spostrzegła w bocznej alei Pól Elizejskich jakąś zmarźniętą żebraczkę, bez życia niemal skuloną u stóp drzewa.

— Biedactwo! — szepnęła piękność strapionym głosem.

Że zaś powóz mknął szybko, margrabina, nie mogąc znaleźć woreczka, rzuciła ubogiej wiązankę białego bzu tureckiego, wartości conajmniej około pięciu ludwików.

SĄSIAD

I

Zajmowałem naówczas poddasze przy ulicy Gracieuse. Uliczka to spadzista, biorąca początek u wzgórza Ś-go Wiktora, za ogrodem botanicznym. Wchodząc na drugie piętro (domostwa dzielnicy tej są niewysokie), trzymałem się zwykle poręczy, która chroniła mię od upadku na zniszczonych stopniach i, w ten sposób, brnąc w nieprzejrzanych ciemnościach, dostawałem się wreszcie do mej nory.

Stancja, dość duża i chłodna, nagością swoją i mętnem skąpem światłem przypominała piwnicę. Bywały tam jednak niekiedy smugi słoneczne, — bywały wówczas, gdy serce moje samo promieniało szczęściem.

Później dolatywał mię dziecięcy śmiech z sąsiedniego poddasza, zajętego przez całą rodzinę, z ojca, matki i siedmio lub ośmioletniej dziewczynki złożoną.

Ojciec posiadał minę niezgrabiarza. Głowę miał usadowioną między dwojgiem śpiczastych

ramion. Twarz kościstą i żółtą, o wielkich czarnych oczach, zgubionych pod krzaczastemi brwiami. Ponura fizjognomja tego człowieka nacechowana była jednak łagodnym uśmiechem; rzekłbyś pięćdziesięcioletni dzieciak, rumieniący się za lada czem, lękliwy jak panienka. Sąsiad mój zwykle krył się w cieniu, a idąc pod murem, miał wyraz uniżoności, odpowiedni dla jakiegoś ułaskawionego zbrodniarza.

Parę przelotnych ukłonów uczyniło z nas znajomych. Twarz ta niezwykła, niespokojnie-dobroduszna, przypadła mi do gustu. Stopniowo doszliśmy do uścisków prawicy.

II

Upływało już sześć miesięcy, a zajęcie sąsiada mego jednaką okryte było mi tajemnicą. Człowiek ten nie należał do rozmownych. Kilkakroć z prostej ciekawości zagadnąłem w tej mierze jego małżonkę, lecz nie udało mi się od niej wydobyć nic, prócz chwiejnych odpowiedzi, pełnych dziwacznego zakłopotania.

Pewnego dnia, po dżdżystej pogodzie, która właśnie dopiero co ustąpiła, zostawiając mi w sercu pewną dozę goryczy — szedłem bulwarem d'Enfer i ujrzałem przed sobą jednego z najbiedniejszej braci robotniczej Paryża, człowieka w czarnej odzieży, z przewiązanym na szyi białym krawatem, dźwigającego pod pachą małą trumienkę noworodka.

Człowiek ten szedł z głową zwieszoną, niosąc swe lekkie brzemię w nieczułem zamyśleniu, potrącając nogami kamyki. Poranek był jasny. Uderzył mię jakiś urok w tej wcielonej goryczy. Zbudzony szelestem mych kroków, człowiek uniósł

głowę, odwracając ją naraz w pośpiechu. Było już jednak, niestety, zapóźno. Poznałem go. Mój sąsiad był grabarzem.

Zawstydzony nieco jego zmieszaniem, śledziłem go wzrokiem. Wyrzucałem sobie, że nie poszedłem inną drogą. On zaś oddalał się z głową niżej jeszcze niż wprzódy zwieszoną, szepcząc zapewne w strapieniu, że mój wieczorny uścisk prawicy utracił już nazawsze.

III

Nazajutrz spotkałem go na schodach. Lękliwie przycisnął się do ściany, malejąc jakby nieco i uniżenie prostując fałdy swej bluzy, którą widocznie nie chciał zawadzić mego ubrania. Tak, to on, on, o zwieszonej szpakowatej głowie, drżącej ze wzruszenia.

Zatrzymałem się, patrząc mu prosto w oczy Wyciągnąłem dłoń.

Sąsiad uniósł głowę, zawahał się, spojrzał na mnie zkolei. Dostrzegłem wzruszenie w jego wielkich oczach i rumieniec rozlany na żółtem obliczu. Następnie gwałtownym ruchem chwycił podaną sobie dłoń i odprowadził mię aż do mieszkania, gdzie dopiero odzyskał głos.

— Jesteś pan zacnym człowiekiem. — rzekł. Pański uścisk dłoni pozwala mi zapomnieć niejedno pogardliwe spojrzenie ludzkie.

Usiadł, zaczynając zwierzenia.

Wyznał, że przed przyjęciem dzisiejszych obowiązków, sam czuł niesmak na widok grabarza.

Lecz później, podczas długich godzin pochodów i ciszy żałobnego konduktu, rozważył to wszystko, i dziwić go począł ów niesmak i lęk, jaki budził wszędzie swoją osobą.

Miałem wówczas zaledwie lat dwadzieścia, i gotów byłem uścisnąć bodaj samego kata. Wpadłem więc w dociekania filozoficzne, dowodząc, że zajęcie sąsiada jest święte. Wzruszył śpiczastemi ramionami, potarł w milczeniu dłonie i podjął znów powolnym, zafrasowanym jakby głosem.

— Uważa pan, wszystkie te szykany dzielnicy mej, pogardliwe spojrzenia przechodni — mało mię ostatecznie obchodzą, byle żona i córka miały na chleb powszedni. Jedno tylko wytrąca mię z równowagi. Nie mogę zasnąć, kiedy o tem pomyślę. Żona i ja — jesteśmy już starcy, wyzbyci wszelkiej ambicji. Lecz córeczka, — ma poczucie wstydu. Biedna Marta zmuszona będzie później rumienić się za mnie. W piątym roku ujrzała przypadkiem jednego z mych towarzyszy, i tak się go wylękła, tyle łez wylała, że nie śmiem nigdy włożyć przy niej czarnego płaszcza. Ubieram się i rozbieram zawsze na schodach.

Przejęła mię litość. Zaproponowałem mu zostawiać odzież w moim pokoju i przebierać się tu, zamiast na zimnie. Z tysiącznemi ostrożnościami przeniósł więc do mnie swe straszne *utensylja.*

Od tego czasu widywałem go stale rano i wieczór. Przebierał się w kącie mej facjaty.

IV

Miałem akurat stary kufer drewniany, rozłażący się prawie, stoczony przez robactwo. Sąsiad urządził zeń sobie schowanko. Wyłożył dno gazetami i ostrożnie układał tam swe czarne szaty.

Czasami nocą, zbudzony gwałtownie jakąś marą senną, rzucałem przerażone spojrzenie w kierunku kufra, który stał pod ścianą na podobieństwo trumny. Widziałem wówczas jakoby wynurzający się kapelusz, płaszcz i biały krawat.

Kapelusz toczył się wokół mego łóżka, chrapiąc i podskakując nerwowo; płaszcz rozwiewał się, poruszając połami nakształt olbrzymich skrzydeł i fruwał po milczącej rozległej izbie; biały krawat wydłużał się niezwykle, czołgając się ku mnie z podniesionym pyskiem, dygocząc ogonem.

Otwierałem wówczas nagle wystraszone oczy—poto tylko, aby ujrzeć stary ponury kufer, stojący nieruchomo w kącie.

V

W okresie tym żyłem zatopiony w marzeniach miłosnych, a jednocześnie głębokim trawiony smutkiem. Znalazłem więc poprostu upodobanie w zmorach, polubiłem też mocniej sąsiada, zwłaszcza wskutek pewnej stęchlizny cmentarnej, którą mi wnosił ze sobą, jak również przez wzgląd, że pozostawał w tak bliskich stosunkach z nieboszczykami. Bawił mię przytem zwierzeniami. Zacząłem pisać „Pamiętniki grabarza".

Wieczorem sąsiad, nie przewdziewając ubrania, sadowił się na starym kufrze i poczynał opowieść, kronikę dnia... Lubił też bajać o swych truposzach! Była to więc, naprzykład, biedna dziewczyna, zmarła przedwcześnie na suchoty — niewielkiej wagi; to znów historja dotyczyła jakiegoś starca, którego trumna przetrąciła sąsiadowi obojczyk, — musiał być jakimś znacznym urzędnikiem i miał widać kieszenie dobrze złotem napchane.

W ten sposób posiadłem sekretne dane o każdym trupie; wiadomą mi była waga, szmery, dochodzące z trumny, sposób, w jaki należało zmarłego znosić na zakrętach schodów...

Niekiedy sąsiad przychodził w szczególnie gadatliwym, serdecznym nastroju. Opierał się wówczas o ścianę, zsuwając kapelusz z czoła i zarzucając płaszcz na ramię. Dnia tego trafił na hojnych spadkobierców, którzy nie poszczędzili mu napiwku. Wkrótce rozczulał się głęboko. Przysięgał mi spełnić w stosownej chwili ostatnią posługę z całą ostrożnością i sumiennością, na jaką przyjaźń ludzka zdobyć się tylko może...

VI

W ten sposób upłynął mi rok cały na zupełnem żałobnictwie.

Pewnego poranka sąsiad nie zgłosił się do mnie. W tydzień później — wyzionął ducha.

Stałem na progu izby, gdy dwuch towarzyszy zmarłego wynosiło ciało. Słyszałem żarty przy znoszeniu trumny i uszu moich dolatał głuchy dźwięk skargi, płynący z wewnątrz za każdem mocniejszem wstrząśnieniem.

Jeden z grabarzy, mały grubas, powtarzał wysokiemu, szczupełmu towarzyszowi:

— Nasz karawaniarz odwalił kitę!

KARNET BALOWY

I

Pamiętasz może, najdroższa, naszą wielką wycieczkę do lasu?

Jesień okryła już drzewa złotem i purpurą, a ostatnie promienie zachodzącego słońca podnosiły jeszcze blaski bogatych barw. Trawa jaśniejszą była, niż w pierwszych dniach maja, a zrudziałe mchy dawały kiepskie schronienie nielicznym już o tej porze owadom. Zatraceni w gęstwinie pełnej melancholijnych poszumów, zdawaliśmy się słyszeć jakoby głuche żale niewiasty, co oto widzi najpierwszą zmarszczkę na gładkiem dotychczas czole. Liście, których czujności nie zdołał omylić blady, słodki zmierzch, w chłodniejszym powiewie odgadywały bliskie nadejście zimy i, kołysane smutnym ruchem, opłakiwały swoją skrwawioną zieleń.

Długo błądziliśmy we wszystkich kierunkach, chętnie prowadząc kroki na dróżki najbardziej zapuszczone i niedostępne oczom ciekawych. Niepowstrzymane wybuchy naszego śmiechu musiały przerażać drozdy i szpaki, których ostre krzyki

słychać było za każdym razem z gęstwiny. Czasami znienacka doleciał z pod krzewów jeżyn szmer jaszczurki, spłoszonej odgłosem kroków.

Spacerom nie było końca.

Nieraz, po dniu chmurnym, oczy widziały wieczorne niebo, spłonione słońcem. Wychodziliśmy jeszcze, aby nasycić wzrok widokiem ostatnich promieni.

Podczas tych przechadzek zalatywały nas wonie szałwi i tymianku. Zrywałem dla ciebie ostatnie kwiaty, starając się dosięgnąć czerwonych jagód tarniny, których napraszałaś się z uporem dziecka. A ty, uwieńczona kwieciem, udając spragnioną, biegłaś do pobliskiego źródełka, pragnąc tylko zpewnością przyjrzeć się w lustrzanej tafli twemu ślicznemu przybraniu, moja ty zalotnico przebrzydła!

Wtem — z mętnym bełkotem lasu zmieszały się odległe wybuchy śmiechu. Usłyszeliśmy dźwięki piccoliny i tamburynu oraz dalekie odgłosy tańca, niesione na skrzydłach zefirów. Przystanęliśmy, wytężając słuch, gotowi w echach tych dopatrzeć się igraszek tajemniczych sylfów leśnych.

Ukryci za pniami drzew, skierowaliśmy kroki w stronę, skąd dochodziły dźwięki muzyki. Kiedy wreszcie z całą ostrożnością rozchyliliśmy konary ostatniego olbrzyma, — oczom ukazał się następujący widok.

Pośrodku polanki zarosłej trawą, otoczonej jałowcem i dzikiemi pistacjami, sunęli w tańcu wieśniacy płci obojga, w ogólnej liczbie około dziesięciu osób. Dziewczęta, z gołą głową i owiązaną szyją, toczyły się w swawolnych podskokach, rozbrzmiewając od czasu do czasu wybuchami śmiechu, którego dźwięk zwrócił naszą uwagę. Mężczyźni pozrzucali marynarki, składając je na uboczu razem z narzędziami pracy, lśniącemi w trawie, aby tem swobodniej oddać się tańcom.

Poczciwcy ci na takt zwracali niewielką uwagę. Jakiś suchy, kościsty człowiek, oparty o pień dębu, grał na piccolinie, uderzając, według zwyczaju prowansalskiego, lewą ręką w tamburyn. Szybkie, hałaśliwe tempo zdawało się czynić mu specjalną satysfakcję. Kiedy spojrzenie muzykanta padło na tańczących, — wzruszał tylko litośnie ramionami. Pochodząc zapewne z jakiejś znaczniejszej wsi, zatrzymał się w drodze dla tych ludzi — i nie mógł patrzeć bez zgorszenia na zbieraninę nieokreślonego pochodzenia, która doprawdy niemiłosiernie lekceważyła sobie wszelkie zasady tańca. Dotknięty do żywego kadrylem z podskokami i przytupywaniem, grajek aż poczerwieniał z oburzenia, tancerze zaś, nie zważając na przerwę w muzyce, okrągłe pięć minut hasali dalej w podnieceniu.

Ślicznieby to było, zapewne, przyłapać w lesie

psotnych duchów na tajemniczych igraszkach. Lecz za najmniejszem tchnieniem rozproszyliby się niechybnie. I, wreszcie, przeglądając opuszczoną salę balową czarodziejskich istot, moglibyśmy dostrzec najwyżej parę przygiętych zlekka źdźbeł trawy, jako jedyny ślad ich zwiewnego pobytu. Zakrawałoby to wprost na drwiny słyszeć swawolne śmiechy, przybiec na wspólną zabawę — i spłoszyć jedynie uczestników, nie przetańczywszy nawet głupiego kadryla.

O ile jednak z sylfami projekty takie są całkiem nieziszczalne, to, z drugiej srony, niema chyba nic łatwiejszego, jak dojść do porozumienia z wieśniakami.

Wyszliśmy więc z gęstwiny.

Hałaśliwi tancerze nie okazali najmniejszego zamiaru ucieczki. Po jakimś czasie spostrzegli dopiero naszą obecność. Grajek, którego wyraz twarzy zdradzał zamiar wyruszenia w dalszą drogę, widząc trochę ofiarowanych przez nas pieniędzy, wziął się znów do roboty, począł bębnić i dąć, nie przestając jednak wzdychać od czasu do czasu, — dla zaznaczenia, jak tego rodzaju profanacja kunsztu jest mu w zasadzie bolesną.

Powolny, nieuchwytny prawie takt melodji zwrócił moją uwagę. Był to walc. Objąłem Cię ramieniem, szykując się pójść w tan, gdy niespodzianie uciekłaś mi z objęcia, chichocząc i pod-

skakując, niczem wiejska dziewczyna. Grajek, którego moje przygotowania wytrawnego tance≠rza zdawały się nieco pocieszać — nachmurzył teraz oblicze, obruszony na tak powszechne obja≠wy upadku sztuki choreograficznej.

Nie wiem już, doprawdy, skąd mi przyszły wczoraj do głowy wspomnienia naszych długich spacerów, naszej nieskrępowanej niczem swawoli. Zamglone obrazy przeszłości sunęły kolejno, je≠den po drugim. Wybacz mi, że je tak szczegółowo powtarzam. Kierowany prostym przypadkiem, za≠trzymuję się na tem lub owem zdarzeniu — bez określonego celu, nic sobie nie robiąc z czytelni≠ków. Wiem, że moje opowiadania są zaledwie słabemi dykteryjkami, lecz Ty mi mówiłaś, że lu≠bisz je nadewszystko.

Taniec, — ta wstydliwie≠lubieżna nimfa, ma większy czar dla mnie jako widza, niż — wyko≠nawcy. Lubię patrzeć, gdy dzwoneczkami potrzą≠sa po świecie: roskoszna pod niebem Hiszpanji i Włoch, skręcona w uściskach i płomiennych po≠całunkach; zawoalowana cała, sunąca w miłosnem rozmarzeniu po równinach jasnowłosych Niemiec; wykwintna i uduchowiona w salonach Francji. Lubię widok jej wszędzie: zarówno na leśnych mchach, jak na bogatych kobiercach, na wiejskiem weselu i na błyskotliwych balach wielkomiejskich.

Łagodnie podana w tył, o oku wilgotnem i pół≠

rozwartych ustach, bogini tańca sunie przez wszystkie czasy, splatając ramiona nad jasnowłosą główką, to znów rozrzucając je swobodnie. Pod miarowy szelest jej *pas* stają otworem wszystkie podwoje,—zarówno wrota świątyń, jak drzwiczki swawolnych ustroni. Raz skąpana w dymach kadzideł, to znów w odzieży splamionej winem, bogini harmonijnie przytupuje nóżką. I dziś jeszcze, po tylu wiekach, zjawia się w naszem gronie z uśmiechem na ustach, wytrzymując niezmiennie melodyjną rytmikę kołysaniem giętkich członków.

Pójdź, o, boska!... Tancerki przeginają się w uściskach tancerzy...

Oto zbliża się Nieśmiertelna! W podniesionych dłoniach trzyma tamburyn baskijski. Uśmiecha się, czyniąc znak. Pary ruszają za jej przykładem, naśladując jej pozy.

Lubię śledzić wzrokiem ten lekki wir. Usiłuję pochwycić wszystkie spojrzenia, wszystkie wyznania miłosne; upajam się poprostu rytmem, zaszyty w jakiś ustronny kąt, gdzie marzę, składając gorące dzięki Nieśmiertelnej, że jakkolwiek jestem nieukiem i niezgrabiarzem, nie odmówiła mi przecież poczucia swej harmonijnej sztuki.

Prawdę mówiąc, wolałbym widzieć złotowłosą boginię w całej rozkosznej nagości, w przepychu falujących ruchów białej kibici. Wolałbym

widzieć ją poza obrębem salonów, gdy robi najkapryśniejsze *pas* na łąkach. Ledwie przysłonięta woalem, lekko depcząc różowemi stopami kobierzec traw, poruszałaby się w naiwnej prostocie, znając arkana melodyjnych ruchów.

Ukryty w zaroślach, mógłbym podziwiać jej piękne kształty, delikatny, giętki tułów i ścigać wzrokiem grę świateł na biodrach, gdy, zależnie od kapryśnego przypadku, — znikałyby lub pojawiały się znienacka.

Czasami jednak nie lubię jej wcale, — nie lubie, kiedy ukazuje mi się, naprzykład, pod postacią młodej, wymuszonej, a urodziwej zalotnicy. Kiedy ją widzę ślepo posłuszną orkiestrze, jak stroi minki z widocznem znużeniem, tłumiąc ziewanie, wykonywując swoje *pas* z samego poczucia obowiązku. Powiem więcej: nigdy nie patrzałem na Nieśmiertelną boginię w jej produkcjach salonowych — bez pewnego przygnębienia. Smukłe nóżki krępują spódniczki elegantki; czuje się w nich nazbyt skrępowaną, ona, która pragnie cała zamienić się w swobodę i swawolę. Wzruszona, z trudem stosuje się do głupich dygów, wyzbywając się przytem zawsze wrodzonego wdzięku dla banalnych śmiesznostek.

Pragnąłbym zamknąć przed nią świeckie podwoje. Jeśli znoszę niekiedy obecność jej w bla-

sku kinkietów, to tylko dzięki... liścikom miłosnym, których zbiornikiem jest — karnet balowy.

Widzisz, Nineczko, w dłoni jej ten mały notesik? Spojrzyj tylko: zamknięcie i pochewka do ołówka lśnią złociście. Nie ujrzeć subtelniejszego lub wonniejszego papieru, ani wykwintniejszej okładki. Oto nasza ofiara. Inni dali jej koronę i szarfę, my zaś w dobroci serca zrobiliśmy jej upominek z — karnetu.

Biedactwo miało tylu wielbicieli, tłoczono się doń z tylu zaproszeniami, że zupełnie straciła głowę. Każdy podziwiał ją, błagając o kadryla, a zalotnica nie odmawiała nikomu. Tańczyła więc, tańczyła do utraty przytomności, pod wpływem zaś ustawicznych skarg, gubiła się do reszty. Wynika stąd okropna obraza, straszliwa zazdrość. Bogini zmyka więc, mając stopy zupełnie rozbite, pamięć utrudzoną. Zlitowano się, ofiarowując jej małą złocistą książeczkę. Od tego czasu ustały zapomnienia, obrazy, faworyzacja. Osaczona wielbicielami, bogini podaje im karnecik, gdzie każdy wpisuje swe nazwisko. Najbardziej zakochani mogą więc uprzedzić rywali. A gdyby nawet zebrała się ich cała setka, białych kartek wystarczy. Jeśli o świcie, gdy blask kinkietów słabnie, nie wszyscy zdążyli objąć jej delikatną kibić uściskiem — muszą to złożyć na karb wła-

snej opieszałości, lecz nigdy... na obojętność bo=gini.

Środek to, bezwątpienia, bardzo prosty. Dzi=wią Cię też, zapewne, moje zachwyty pod adre=sem kilku kartek papieru. Cóż to jednak za cud=ne kartki, tchnące czarem zalotności, pełne naj=słodszych sekretów! Cóż to za długi spis miłych wielbicieli, gdzie każde nazwisko wyobraża czło=wieka, każda strona cały wieczór tryumfu i upo=jenia .Cóż to za magiczny kajecik, gdzie niewta=jemniczony sylabizować może tylko puste wyra=zy, a gdzie dziewczyna z otuchą widzi dowody swej piękności i masowego uwielbienia.

Każdy idzie kolejno uczynić akt poddańczy, podpisać miłosne wyznanie. Bo czyliż to, w grun=cie rzeczy, nie... domniemane wyznanie?

Czy, będąc sprawiedliwym, nie należałoby, po=prostu, wypisać słów tych na kartce naczelnej, słów nieśmiertelnych, wieczyście młodych? Lecz kajecik jest dyskretny, nie chce zmuszać swą właścicielkę do rumieńców. Niemniej oboje wie=dzą dobrze, co o tem sądzić.

Szczerze mówiąc, uważam karnecik za nader przebiegłą istotę. Uważaj bo tylko na jego po=dzielność, na pozory naiwności, a zarazem na nieodzowną potrzebę karnetu. Czemże więc jest właściwie? — Poprostu notesikiem, najzwyczaj=niejszym środkiem przestrzegania sprawiedliwo=

ści, udzielenia każdemu właściwej kolei! On miałby mówić coś o miłości, uwodzić młode dziewczęta? — Gruba omyłka! Przejrzyj wszystkie strony, a nie znajdziesz zpewnością najmniejszego „kocham“. Naprawdę jednak... wyraża on uczucie uwielbienia całą swoją istotą, pozostając zarazem najniewinniejszym, najbardziej nieświadomym, najprostszym w świecie notesikiem. W ten sposób rodzice bez niepokoju obserwują go w dłoniach córek. I, podczas gdy bilecik z jednem słówkiem chowany bywa głęboko pod stanikiem, karnet, zawierający najliczniejsze bodaj podpisy, ukazuje się zupełnie śmiało. Spotkać go można wszędzie na świetle dziennem, zarówno w salonie, jak i w pokoju dziecięcym. Czy jednak mała ta książeczka nie jest przypadkiem stokroć niebezpieczniejszą, niż się naogół wydaje?...

Karnet wprowadza w błąd wszystkich, nie wyłączając samej właścicielki.

— Co za niebezpieczeństwo, — spytacie — kryć może przedmiot tak banalnego użytku, zatwierdzony przytem przez rodziców? Dziewczyna przerzuca kartki bez niepokoju!...

Tu właśnie zaznacza się obłuda karnetu. Jak sądzisz, co taki nicpoń może szeptać na ucho w godzinach samotności? Czy tylko zwykłe imiona?

Przenigdy!

Prowadzi długie, ponętne djalogi miłosne... Utraca wtenczas cechy koniecznej potrzeby i bezinteresowności. Paple tylko i poi pieszczotą. Płonie, szepcząc czułe słówka...

Dziewczyna czuje duszność, lecz ciągnie dalej igraszkę, cała drżąca. I zwolna bal przechodzi raz jeszcze przed jej oczyma... Świeczniki płoną, muzyka rozkosznie prowadzi melodje, każde nazwisko przyjmuje pewną postać, a wieczór, na którym dziewczyna królowała, odradza się w pełni ze wszystkiemi owacjami, pochlebstwami i pieszczotliwemi półsłówkami...

O, złośliwa książeczko, jakimże jesteś doprawdy korowodem mężczyzn!

Ten, miękko kibić w uścisku trzymając, wychwalał błękitne oczy dziewczyny... Ów, wzruszony i drżący, mógł tylko uśmiech na usta wydobyć... Tamten zaś mówił i mówił bez końca, darząc ją tysiącznemi uprzejmostkami, które, pomimo całego braku sensu, potrafią nieraz wyrazić więcej, niż bardzo długie rozmowy!

Kiedy zaś raz tylko jeden dziewczyna zapomni się w ten sposób, — karnecik wie, że powracać już będzie doń często. Jako młoda kobieta przerzuci nieraz kartki, przyjdzie z niepokojem zasięgać rady, sprawdzić o ile zwiększyła się liczba wielbicieli... Ze smutnym uśmiechem za-

trzyma się na pewnych nazwiskach, których bra=kować będzie na końcu książeczki, na tych na=nazwiskach ulotnych. co zbogaciły pewnie inne karnety... Większa część osobników została jed=nak jeszcze wierną. Przerzuca ich z obojętnością. Kajecik śmieje się tylko wciąż, zna bowiem swoją potęgę: otrzymywać będzie pieszczoty przez ciąg całego życia swej pani...

Nawet z nadejściem starości — nie ulegnie zapomnieniu. Pozłota wypełźnie już natenczas, pojedyńcze kartki ledwo trzymać się będą. Pani, starzejąc się również, zdaje się tylko bardziej karnecik lubić. Przewraca jeszcze nieraz kartki, upajając się odległym czarem młodości...

Nie pięknaż to rola karnetu? Nie jestże, jako wyraz poezji — niepojęty przez tłum, ale czyta=ny łatwo przez wtajemniczonych? Powiernik ta=jemnic, karnet towarzyszy kobiecie w życiu na podobieństwo Anioła Stróża, siejąc pełną ręką nadzieje i wspomnienia...

II

Georgetta dopiero co wyszła z klasztoru. Była jeszcze w tym szczęśliwym okresie, kiedy marzenie stapia się z rzeczywistością, w tej słodkiej epoce przejściowej, gdy umysł znajduje to, o czem marzy i umie marzyć o tem, co ma przed sobą. Jak wszystkie dziewczęta w jej wieku, Georgetta pozwoliła olśnić się płomiennym blaskiem pierwszych balów. Czuła się jakoby unoszoną w wyższej sferze, śród półbogów, wyzwolonych z ujemnych stron życia.

Śniadawe policzki jej miały złote odblaski, jakie spotyka się nieraz na piersiach Sycylijek. Wielkie czarne rzęsy przesłaniały do połowy ogień spojrzenia. Zapominając, że wyzwoloną już jest z pod rygoru damy klasowej, Georgetta powściągała gwałtowne, wrzące w sercu porywy. W salonie była to zawsze skromniutka dziewczynka, prawie naiwna, rumieniąca się za każdem słowem i spuszczająca oczy.

Ukryjmy się na chwilę za kotarę, a ujrzymy

ją ociężałą, jak wyciąga ramiona i wstaje ze snu, odsłaniając różowe nóżki.

. . . .

Pomnisz?... wybiła jedenasta. Pokój był jeszcze pogrążony w mroku. Słońce gubiło się w gęstych roletach, a nocna lampka konającem światłem napróżno walczyła z ciemnością. Za każdym mocniejszym rozbłyskiem ukazywała się na łożu biała postać o nieskazitelnem obliczu, o piersiach w powodzi koronek, dalej zaś nieco... subtelny zarys stopy. Z łóżka zwieszało się śnieżne ramię o dłoni rozwartej.

W dwuch rzutach leniuszek odwrócił się na posłaniu, zabierając się jeszcze do snu, do małej drzemki, którą pierwszy niespodziany skrzyp łóżka rozproszył, lekko unosząc dziewczynę na posłaniu. Odrzuciła włosy, w nieładzie spadające na czoło, przetarła oczy ze snu ogromne i naciągnęła kołdrę, krzyżując ramiona dla lepszego okrycia się jeszcze.

Rozbudzona na dobre, wyciągnęła rękę w kierunku sznurka od dzwonka, wiszącego tuż u wezgłowia, lecz natychmiast zmieniła zamiar. Wyskoczyła z łóżka na podłogę i pobiegła podnieść rolety.

Wesołe promienie słońca napełniły pokój

światłem. Dziewczyna, zdziwiona poźną godziną i spłoszona widokiem swej półnagiej postaci w zwierciadle, przytuliła się znów szybko do opuszczonego przed chwilą posłania, zarumieniona i drżąca. Pokojówka Georgetty była głupią wścibską. To też dziewczyna wolała samotne marzenia od gadulstwa służącej. Lecz, o, Boże, jak to już późno być musi i co za niedyskretne jednak są szyby okienne!

Na rozstawionych w nieładzie krzesłach widać teraz porozkładane stroje balowe. Dziewczyna przez sen prawie rzuciła: tu gazową spódniczkę, ówdzie szal, tam znów jedwabne pantofelki. Obok, w muszelce z agatu połyskiwały klejnoty. Zwiędły bukiet konał, rzucony obok karnetu.

Mając czoło wsparte na dłoni, Georgetta zaczęła bawić się perłami. Wkrótce złożyła je na dawnem miejscu, wzięła do ręki karnet i jęła kolejno przerzucać kartki... Kajecik miał wyraz obojętnego znużenia. Dziewczyna przebiegła po nim oczyma bez wielkiej uwagi, zdając się dumać zgoła o czemś innem...

Wreszcie jednak imię Karol, wypisane u góry każdej strony, wyprowadziło ją z cierpliwości.

— Wszędzie ten Karol, — rzekła. — Kuzynek mój ma, coprawda, niebrzydkie pismo, litery pochyłe i wydłużone, nadaje im to wyraz powagi. Ręka mu drży bardzo rzadko, nie wyłączając na

wet chwili, gdy ściska mi dłoń... O, kuzynek jest bardzo poważnym młodym człowiekiem. Kiedyś pewnie zostanie moim mężem. Na każdym balu, bez najmniejszego zapytania, zabiera mi karnecik i zapisuje się do pierwszego tańca. Jest w tem jakieś prawo mężowskie. Nie podoba mi się to wcale!

Karnet stawał się coraz oziębłejszy. Dziewczyna, mając wzrok utkwiony w przestrzeni, zdawała się szukać rozwiązania poważnej zagadki. Wreszcie poczęła dalej snuć wątek myśli.

— Właściwie słowo „mąż“ napawa mię strachem. Karol traktuje mię zawsze jak smarkacza. Że tam otrzymał ośm czy dziesięć nagród w kolegjum, — uważa się obowiązanym do ustawicznej pedanterji. Pominąwszy jednak to wszystko, nie wiem wcale czemu, niby, ma być koniecznie moim mężem? Ani go o to prosiłam, ani mię pytał o pozwolenie. Niegdyś bawiliśmy się tylko razem, i pamiętam, że odznaczał się wielką złośliwością. Tak więc — mam zostać jego żoną... Nigdy, coprawda, nie pomyślałam o tem poważnie, nie widzę właściwie nawet żadnego powodu, abym żoną jego zostać musiała. Karol tylko i zawsze Karol! Pomyślałby kto, że już do niego należę!... Muszę powiedzieć, żeby nie pisał takiemi wielkiemi literami po karnecie: jego imię zajmuje zbyt wiele miejsca!

Kajecik, który zdawał się również nudzić porządnie Karolem, — zamykał się ze znużenia. Przypuszczam, że wszystkie karnety szczerze nienawidzą mężów. Nasz karnecik przewracał kartki i podstępnie przesuwał przed oczyma swej pani coraz to nowe imiona.

— Ludwik, — szepnęła. — Imię to przypomina mi oryginalnego tancerza. Nie patrząc prawie na mnie, zbliżył się, prosząc o kadryla. Przy pierwszych dźwiękach muzyki uprowadził mię na drugi koniec sali, naprzeciw nieznajomej blondyny, która ścigała go wzrokiem. Uśmiechał się do niej chwilami, zapominając o mnie do tego stopnia, że dwa razy musiałam sama podnieść bukiet. Gdy taniec zbliżał go do nieznajomej, mówił do niej coś zcicha, a, jakkolwiek starałam się usłyszeć słowa, — nie mogłam nic zrozumieć. Może to była jego siostra... Siostra? O, nie! Kiedy ją chwytał za rękę, widziałam jak dłoń mu drżała, a orkiestra zawsze napróżno wzywała go do mnie zpowrotem... Sterczałam jak głupia z wyciągniętemi rękoma. Musiało to być poprostu komiczne. Wszystkie postacie wydały mi się jakby zamglone. A może to była jego żona?... O, jakaż ze mnie warjatka! Też mi, doprawdy, coś nowego do głowy strzeliło! Przecież Karol nigdy nie rozmawia ze mną w tańcu. Może to była tylko...

Georgetta przerwała tok myśli z ustami na=poły rozwartemi, pochłonięta cała nowem spo=strzeżeniem, jak dziecko widokiem nieznanej je=szcze zabawki, do której nie śmie zbliżyć się, i tylko szeroko otwiera zdumione oczy. Machi=nalnie liczyła palcami zmarszczki na kołdrze, prawą ręką trzymając otwarty karnet, który za=czynał zdradzać oznaki życia. Przejmował się poprostu i jakby wiedział dokładnie, kim była owa blondyna. Nie jestem pewny, czy lekkoduch zwierzył swój sekret dziewczynie. Zebrała na ra=mionach osuwające się koronki, przerwała skru=pulatne liczenie zmarszczek i rzekła półgłosem:

— To szczególne, ta piękna dama nie była jednak zpewnością ani siostrą, ani żoną pana Ludwika...

Następnie dalej przewracała kartki. Wkrótce uwagę jej zwróciło pewne imię.

— Robert, to okropny człowiek, — rzekła. — Nigdybym nie pomyślała, że ktoś, noszący tak wykwintną kamizelkę, może mieć równie czarny charakter. Cały kwadrans porównywał mię do tysiąca pięknych rzeczy: do gwiazd, kwiatów, — czy ja wiem wreszcie do czego? Pochlebiało mi to, doznawałam tyle radości, że nie wiedziałam nawet co odpowiadać. Mówił długo i wprawnie, nie zacinając się wcale. Następnie odprowadził mię na miejsce i pożegnał, nie okazując najmniej=

szego wzruszenia. Stanęłam przy oknie, zakryta firankami. Zdaje się, że myślałam nieco o mym rozmownym tancerzu, gdy wtem usłyszałem rozmowę, przeplataną śmiechem. Robert opowiadał jakiemuś przyjacielowi o małym głuptasie, rumieniącym się za każdem słowem, o panience z klasztoru, spuszczającej wciąż oczy, która szpeci się bez potrzeby zbyt skromnem obejściem. Zpewnością miał na myśli moją przyjaciółkę, Teresę. Teresa ma małe oczy i wielkie usta. Dobra to jednak, pozatem, dziewczyna. A może mówili o mnie? Mężczyźni potrafią przecież nieźle blagować. Byłażbym brzydka? Szpetna? No, już brzydsza chyba jest Teresa! Zpewnością musieli mówić o Teresie.

Georgetta uśmiechnęła się i wykonała ruch, jakby chciała iść poradzić się w tym względzie zwierciadła.

— Następnie, — dodała, — wyśmiewali się z pań, zebranych na balu. Słuchałam, lecz wkońcu nie mogłam nic zrozumieć. Zdaje się, że musieli mówić jakieś cynizmy. Ponieważ niepodobna było uciec, zatkałam więc sobie poprostu uszy.

Karnet wpadł w wyborny humor. Rozwijał przed oczyma dziewczyny cały szereg imion, dowodząc coraz jaśniej, że tym głuptasem, którego szpeciło zbyt skromne obejście, była Teresa.

— Paweł ma oczy błękitne, — mówił karne-

cik, — nie umiałby kłamać, a przecież słyszałem, jak prawił ci słodkie słówka.

— Tak, zapewne, — wtórzyła dziewczyna. — Pan Paweł ma oczy błękitne i nie jest chyba kłamcą. Ma też jasne wąsy, które wolę, niż wąsy Karola.

— Daj mi pokój z Karolem, — przerwał kar=net, — jego wąsy nie zasługują nawet, żeby się do nich uśmiechnąć. Ale powiedz lepiej, co są=dzisz o Edwardzie? Zdaje się być bardzo skrom=ny i odważa się tylko rozmawiać spojrzeniami. Nie wiem, czy rozumiesz ten język. A Juljusz? Mówi, że ty jedna potrafisz tańczyć walca... A Lu=cjan, a Jerzy, a Albert? wszyscy uważają cię za piękność i długie godziny wyczekują na jałmużnę twego uśmiechu.

Dziewczyna znów poczęła liczyć zmarszczki na kołdrze. Gadatliwość karnetu napawała ją niepokojem. Czuła, że kajecik parzy poprostu palce. Chciała go zamknąć, lecz zbrakło jej zu=pełnie odwagi.

— Byłaś przecież królową, — ciągnął demon. — Koronki nie przysłaniały ci nagich ramion, a oblicze istoty szesnastoletniej zdolne jest za=ćmić blask korony. O, moja droga, nie wiesz ty jeszcze wszystkiego, — inaczej powinnabyś ulito=wać się. Biedni chłopcy czują się teraz prawdzi=wie nieszczęśliwi!

Nastała chwila ciszy. Dziewczyna uśmiechnięta, płonąca cała, widząc milczenie karnetu, próbowała nawiązać nić rozmowy.

— Podczas balu z sukni oderwała mi się jedna kokardka, — rzekła. — Zpewnością brzydko to wyglądało. Młodzi ludzie musieli się dobrze naśmiewać. Ale co począć z niedbalstwem szwaczek?

— Czy on z tobą nie tańczył? — przerwał karnet.

— Kto? — zagadnęła Georgetta, rumieniąc się do tego stopnia, że fala młodej krwi oblała ją po same ramiona.

Imię, które od kwadransa już miała na myśli, spłynęło z warg dziewczyny.

— Pan Edmund, — rzekła, — wydał mi się wczoraj smutny. Widziałam jak zdaleka tylko obrzucał mię wzrokiem. Ponieważ brakowało mu odwagi podejść bliżej, wstałam z krzesła i udałam się w jego stronę. Zmuszony był wkońcu zaprosić mię do tańca.

— Ten pan Edmund podobał mi się bardzo, — westchnął kajecik.

Georgetta udaje, że nie słyszy. Prowadzi dalej zaczęte zwierzenia.

— W tańcu czułam jak ręka jego drży na mej talji. Wyjąkał zaledwie kilka słów, uskarżając się na upał. Widząc, że róże w mym bukiecie zwróci-

ły na siebie jego uwagę, dałam mu jednę z nich. Niema w tem przecież nic złego...

— Ależ, nie! Biorąc kwiat, pan Edmund szczególnym przypadkiem zbliżył, zdaje się, usta do twych paluszków i złożył na nich lekki pocałunek.

— Niema w tem przecież nic złego, — powtórzyła Georgetta, która od dobrej chwili znosiła prawdziwe tortury.

— Bynajmniej! Właściwie powinienbym tylko zrobić ci porządną wymówkę, że tak długo pozwoliłaś mu czekać na ten pocałunek. Z Edmunda byłby wcale pociągający mężyk.

Dziewczyna opanowywana coraz to głębszem wzruszeniem, nie spostrzegła nawet, że nakrycie zsunęło się z niej, nóżka zaś odrzuciła kołderkę.

— Pociągający mężyk... — powtórzyła znowu Georgetta.

— Lubię go bardzo, — ciągnął dalej kusiciel.— I powiem otwarcie, że będąc na twojem miejscu, z przyjemnością odwzajemniłbym się za jego pocałunek.

Georgetta była zdetonowana. Wdzięczny apostoł prowadził rzecz swoją dalej.

— Poprostu wypada ucałować miejsce, gdzie masz zapisane jego imię. Naturalnie nie wspomnę mu nawet o tem.

Dziewczyna zarzekła się tego stanowczo. Nie wiadomo jednak poprostu, — w jaki sposób kart-

ka znalazła się nagle tuż u jej ust... Sama nawet nie umiała zdać sobie sprawy co czyni. Opierając się wciąż, złożyła na oznaczonem miejscu dwa króciutkie pocałunki...

Wówczas oczy jej padły na nóżkę, lśniącą w promieniach słońca. Zmieszana mocno, naciągnęła kołdrę, gdy wtem przeraził ją do reszty zgrzyt klucza w zamku.

Karnecik wślizgnął się między koronki i zginął pod poduszką.

We drzwiach ukazała się pokojówka.

GDZIE DWUCH SIĘ BIJE,
TAM TRZECI KORZYSTA

I

Znam pewnego młodzieńca, Nino, na którego byłabyś oburzona: Leon uwielbia Balzaka i nie znosi — George Sand. Utwory Micheleta przyprawiają go o mdłości. Twierdzi z całą naiwnością, że kobieta jest urodzoną niewolnicą — i nie potrafi zrobić wyznania bez drwinek. O, jak źle obchodzi się Leon z wami! Prawdopodobnie w nocy zbiera siły, aby za dnia dopuścić mocniejszy atak.

Leon ma lat dwadzieścia.

Brzydota wydaje mu się zbrodnią. Małe oczy, zbyt wielkie usta, — wyprowadzają go, poprostu, z równowagi. Leon jest zdania, że ponieważ brzydkie kwiaty nie istnieją, więc i dziewczęta powinny rodzić się tylko urodziwe. Jeśli przypadkiem spotka kiedy na ulicy jakie brzydactwo — całe trzy dni nie omieszka wyklinać rzadkie włosy, duże stopy lub zbyt szerokie dłonie. Gdy, odwrotnie, kobieta posiada urodę, Leon uśmiecha

się złośliwie, a jego wymowne milczenie zdradza najgorsze myśli.

Nie wiem już, doprawdy, która z was zasłużyćby mogła sobie u niego na względy. Brunetki i blondynki, młode i stare, przystojne i brzydkie, — wszystkie śle do licha. Szkaradny człowiek! A żebyś wiedziała, jak łagodnym uśmieszkiem płonie czasami jego spojrzenie, jak słodką, jak pieszczotliwą bywa jego rozmowa!...

Leon mieszka w samem centrum dzielnicy Łacińskiej.

Na tem miejscu, Nino, przejmuje mię nielada zakłopotanie. Właściwie powinienbym przerwać opowieść, złorzecząc chwili, kiedy powziąłcm zamiar wtajemniczenia Cię w coś podobnego. Ciekawe uszki Twoje słuchają z wytężeniem skandalicznych szczegółów, ja zaś nie zdaję sobie bynajmniej sprawy, w jaki sposób wprowadzić Cię do tego świata, gdzie nie postał jeszcze nigdy nawet koniec Twego pantofelka.

Świat ów zaprawdę byłby rajem, gdyby nie był... prawdziwem piekłem.

Otwórzmy księgi poety, przejrzyjmy dzieje młodości. Okno wychodzi na południe. Facjatka pełna jest kwiatów i światła, mieści się zaś tak wysoko, tak wysoko pod niebem, że czasami słychać z dachu gawędy anielskie. Na podobieństwo

ptaków, budujących gniazda na najwyższych ga-łęziach, w obawie przed człowiekiem, — kochan-kowie ustronie swoje urządzone mają na ostat-niem piętrze domostwa. Wita ich tam pierwsza pieszczota poranku i żegna — ostatni promień słońca.

Czem żywią się ci ludzie?.. Kto ich wie! Praw-dopodobnie pocałunkami i uśmiechami. Kochają się tak bardzo, że nie mają nawet czasu myśleć o braku pożywienia. Brak im chleba, — a okru-szyny rzucają wróblom. Otwierając pustą szafę, z głośnym śmiechem stwierdzają za każdym ra-zem swe ubóstwo.

Miłość ich datuje się od pierwszych bławat-ków.

Spotkali się na polu, śród zbóż. Nie widząc się nigdy, znali się oddawna i jedną ścieżką dążyli do miasta. Na piersiach jej, jak zwykle u narze-czonej, widniała spora wiązanka kwiecia. Wdra-pała się z trudem na siódme piętro i, znużona dro-gą, nie miała już chęci zejść nadół.

Jutro może zbierze się jakoś na siłach. Nie myśli zresztą o tem. Odpoczywając, krząta się po izdebce, podlewa kwiaty, zajmuje się fikcyj-nem gospodarstwem. Następnie zabiera się do szycia, podczas gdy młody człowiek pracuje na własną rękę. Krzesła ich stykają się ze sobą.

Wkrótce, dla większej wygody, oboje siadają na jednem krzesełku. Przychodzi noc... Oni strofują się za lenistwo...

O, jak pięknie potrafi kłamać poeta, i jak te kłamstwa pełne są dla nas ponęt. Bodajby pisarz ów został nazawsze dzieckiem, nie znając nigdy, co wiek dojrzały! Bodajby zwodził nas wówczas nawet, kiedy już sam się łudzić przestanie. Przybywa z krainy szczęścia, by prawić o miłości...

Na wyżynach spotkał dwie świętoszki: Musettę i Mimi, które sprowadził między nas. Zaledwie dotknęły ziemi skrzydłami, — ulatują zpowrotem na promieniu, który je przyniósł. Dziś serca dwudziestoletnie szukają ich daremnie i zalewają się łzami, nie mogąc na ślad ich nawet natrafić.

Mam że i ja kłamać, najdroższa, unosząc dziewczyny do niebios, czy też mam raczej wyznać z prostotą, że w piekle je tylko widziałem? Gdyby tu, na Twem miejscu przy kominku, siedział w bujającym fotelu który z mych przyjaciół, — jakżebym śmiało zdarł złoty woal, jakim poeta przybrał niegodne ramiona! Lecz Ty zamknęłabyś mi usta drobnemi rączkami, obraziłabyś się na mnie i, wskutek nadmiaru prawdy, uznałabyś wszystko za wierutne kłamstwo. Jakżebyś mogła uwierzyć we współczesnych nam kochanków, którzy piją ze źródła, gdy ich pragnienie

w drodze zaskoczy? I jakież byłoby Twe oburzenie, gdybym Ci mówił, że siostrzyce zrzuciły ze siebie sukienki, zostając w jednem przybraniu własnych włosów... Mieszkasz zacisznie i wesoło w gniazdku, które dla Ciebie uwiłem, nie wiedząc jakiemi drogami kroczy świat. Nie miałbym nawet odwagi wyznać Ci, że kwiaty chorują poważnie, a serca ludzkie jutro już może zgasną zupełnie...

Nie zatykaj jednak uszu, najdroższa: nie będziesz miała powodu do rumienienia się.

II

Leon więc mieszka w samem centrum dzielnicy Łacińskiej. Tu, gdzie wszyscy niemal znają się dobrze, prawica Leona często ściska prawice. Szczerość wejrzenia zdobywa mu powszechną sympatję.

Kobiety nie mogą darować Leonowi niechęci, jaką okazuje płci pięknej, — i burzą się w niemocy wyrażenia mu swych uczuć. Tak więc, kochając, — zmuszone są zarazem nienawidzieć go pozornie.

W okresie, poprzedzającym zdarzenie, które właśnie opowiem, nie dostrzegłem, aby Leon miał kochankę. Utrzymuje, że rozbity jest zupełnem znużeniem, o rozkoszach zaś świata tego mówi językiem trapisty, którego zmuszono do naruszenia milczenia. Leon lubi dobrze jadać i wprost nie znosi kiepskiego wina. Bielizna jego odznacza się wielką subtelnością, odzież zaś skrojona jest z wyszukanym smakiem.

Nieraz widzę jak Leon przystaje przed obra=

zami szkół włoskich, a oczy rosi mu nieme wzruszenie. Piękna rzeźba zdolna jest dać mu godzinę szczerego zachwytu.

Pozatem Leon wiedzie żywot studencki, pracując jaknajmniej, włócząc się po słońcu, grążąc się w zapomnieniu na każdej spotkanej ławce. Wówczas to, zwłaszcza, w godzinach marzeń miota najgorsze obelgi na ród niewieści. Spoczywając z przymkniętemi oczyma, zdaje się roić o czemś nieznanem, głosząc nienawiść dla zimnej rzeczywistości.

Pewnego majowego poranku spotkałem Leona o zwykłym znużonym wyrazie twarzy. Nie wiedział co robić, włóczył się więc na łasce losu. Chodniki były błotniste, a „coś nieprzewidzianego“ — przybierało nieomylnie tęsamą postać... brudnej kałuży. Z litości wystąpiłem z propozycją udania się za miasto — zobaczyć, czy kwitną już dzikie róże.

Całą godzinę zmuszony byłem wysłuchiwać długich dysput filozoficznych, zmierzających zawsze do wniosku o znikomości naszych uciech. Stopniowo domostwa poczęły się przerzedzać. Na progach rozwartych drzwi ukazywały nam się umorusane berbecie w igraszkah za pan brat z wielkimi kundysami. Kiedy znaleźliśmy się już na kompletnej wsi, Leon przystanął w pewnem miejscu przed gromadką dzieci, bawiących się na

słońcu. Popieścił najmłodsze, mówiąc, że przepa⸗da za jasnowłosemi główkami.

*

Lubiłem zawsze wąskie ścieżyny, ściśnięte z obu stron zaroślami, których koła wielkich wo⸗zów nie żłobią. Ziemia porasta tam zwykle mięk⸗kim mchem, łagodnym jak puszysty dywan. Dro⸗gą taką człowiek posuwa się w tajemniczem mil⸗czeniu. Kiedy zaś idzie dwoje kochanków, kolce zielonych ścian zmuszają dziewczynę mocniej przytulić się do piersi ukochanego. Zapuściliśmy się więc z Leonem w jednę z tych zatraconych dróżek, gdzie pocałunki podsłuchane być mogą jedynie przez mewy. Pierwszy uśmiech wiosny zwarzył całą mizantropję mego filozofa. Dozna⸗wał wzruszeń na widok każdej kropli rosy, nucił piosenki i zachwycał się poprostu jak uczniak w chwilach wolnych od zajęć.

Ścieżyna szła coraz dalej i dalej. Splątane wy⸗sokie zarośla zamykały cały widnokrąg. Ow ro⸗dzaj uwięzienia i nieświadomość drogi podwaja⸗ły wesołość.

Zwolna przejście stawało się coraz węższe. Musieliśmy kroczyć gęsiego. Zarośla, splątane na niespodzianych zakrętach, czyniły drogę rzetel⸗nym labiryntem.

Wówczas to, w najciaśniejszem miejscu, uszu naszych doleciał dźwięk rozmowy. Następnie ukazały się trzy osoby. Dwuch mężczyzn szło przodem, odchylając zbyt wystające gałązki, za niemi zaś kroczyła młoda kobieta.

Przystanąłem, unosząc kapelusza. Mężczyzna odkłonił się. Spojrzeliśmy wszyscy po sobie. Położenie było skomplikowane. Zarośla otoczyły nas gęstsze, niż dotychczas, żadna zaś strona nie zdradzała najmniejszej chęci odwrotu. Wówczas Leon, idący za mną, wspiął się na palcach i ujrzał nieznajomą. Nie mówiąc ani słowa, odważnie wcisnął się w krzaki. Ubranie rozdarło mu się nieco o kolce, parę kropli krwi ukazało się na rękach. Rad nie rad — musiałem iść za jego przykładem.

Młodzi ludzie przeszli w ten sposób, dziękując za naszą uprzejmość. Dziewczyna, jakby pragnąc wynagrodzić czemkolwiek Leona za jego poświęcenie, przystanęła w niepewności, spoglądając nań wielkiemi czarnemi oczyma. On zaś pomyślał zapewne o swoistym uśmieszku, lecz nie mógł wydobyć go na usta.

Kiedy miła osóbka oddaliła się już nieco, — wyszedłem z krzaków, klnąc taką uprzejmość na czem świat stoi. Jakiś cierń ukłuł mię w szyję, a kapelusz tak mocno uwiązł pośród gałęzi, że

z wielkim trudem udało się go wydobyć. Leon otrząsnął się już. Widząc moje przyjazne objawy, okazywane pięknej pani, zagadnął, czy jej przypadkiem nie znam.

— Naturalnie że znam, — odparłem. — To Antonina. Przez trzy miesiące była moją sąsiadką.

Udaliśmy się w dalszą drogę. Leon umilkł. Począłem opowiadać o pannie Antoninie.

*

Przez całe trzy długie miesiące zimowe obserwowałem, jak w ubóstwie i opuszczeniu zarabiała na życie pracą rąk. Czyniła to bez żadnego popisywania się, bez hasła cnoty, ot poprostu dlatego, że taki pomysł wpadł jej do głowy. Póki robiła igłą — nie widziałem nic podejrzanego. Antonina była dobrą koleżanką dla odwiedzających ją mężczyzn, ściskała im prawice, śmiała się razem, lecz za pierwszą próbą pocałunku — zamykała się na klucz. Przyznałem, że i ja też próbowałem zalecanek. Pewnego dnia ofiarowałem jej pierścionek i kolczyki. Lecz dziewczyna rzekła na to:

— Kochany panie, proszę zabrać swe kosztowności. Jeśli oddaję się komu, — to tylko najwyżej za kwiaty!

W miłości Antonina stawała się grymaśną i wybredną. Jedwabie i koronki zastępowały wówczas miejsce perkali. Goiła starannie ukłucia, — i z pracownicy igły zmieniała się na wielką damę...

Pozatem — w miłostkach Antonina potrafiła zawsze utrzymać swawolny ton gryztki. Kochany mężczyzna przeglądał ją łatwo na wylot. Równie też szybko zorjentować się mógł z chwilą, kiedy uczucie dziewczyny wygasło bez śladu. Antonina nie należała, mimo to, do kapryśnych istot, które zmieniają kochanków jak rękawiczki. Była istotą głębszego umysłu i wielkiego serca. Nie mogła jednak uniknąć częstych omyłek. Nieraz powierzała swe szczęście niegodnym dłoniom, uchodząc szybko z uczuciem niesmaku. Tak więc — nudno było dziewczynie w tej dzielnicy Łacińskiej, gdzie młodzież zbyt zniszczoną wydać się jej musiała.

Za każdym nowym zawodem oblicze Antoniny powlekał wyraz smutku. Wygłaszała wówczas pod adresem mężczyzn surowe słowa prawdy. Żaliła się, że nie umie żyć bez miłości. Następnie zamykała się w odosobnieniu — póki serce znów nie zerwało więzów...

Wczoraj właśnie spotkałem sąsiadkę pogrążoną w nowem zmartwieniu: opuścił ją jakiś kochanek, dla którego miała jeszcze kruszynę uczucia.

— Wiem dobrze, — opowiadała mi, — iż najdalej za tydzień rzuciłabym go sama: był to ostatni nicpoń. Lecz wycałowałabym się z nim przedtem jeszcze! Okrągło licząc, przepadło mi jakich trzydzieści dobrych buziaków.

Następnie nadmieniła, że od tego czasu włóczy się za nią dwuch wilbicieli, którzy zasypują ją wprost kwiatami. Pozwala im na to z całą pobłażliwością, upominając tylko od czasu do czasu: — „Panowie, mówię wam otwarcie, że nie kocham ani jednego, ani drugiego, i wielkie zrobicie głupstwo, sprowadzając między sobą najmniejsze poróżnienie. Zostańcie lepiej w przyjaźni. Widzę, że są z was porządni ludzie. Będziemy się bawić, jak trójka starych znajomych. Lecz przy pierwszej sprzeczce — ucieknę od was nazawsze“.

Biedacy uścisnęli sobie gorąco dłonie, posyłając się wzajem do wszystkich djabłów. Ich to zapewne właśnie spotkaliśmy przed chwilą.

Oto jaką była panna Antonina. Istota o serduszku kochliwem, puszczona samopas w dzielnicy rozpusty; słodkie, śliczne dziewczę, rzucające po drodze każdemu wróblowi okruchy pieszczot.

Szczegóły te opowiedziałem Leonowi. Słuchał bez zbytniej uwagi, nie podniecając zwierzeń najmniejszem pytaniem. Zaledwie umilkłem, odezwał się w te słowa:

— Zbyt wolnomyślna z niej dziewczyna: nie lubię tego rodzaju traktowania miłości.

I póty pracował nad sobą, aż złośliwy uśmieszek powrócił mu na usta.

III

Wreszcie wydobyliśmy się z zarośli.

Sekwana toczyła fale u naszych stóp. Na przeciwnym brzegu widać było wioskę, odbitą w nurtach. Miejscowość okazała się znaną nam dość dobrze: nieraz włóczyliśmy się po wyspach, rozrzuconych z biegiem rzeki.

Po dłuższym odpoczynku u stóp dębu, Leon oświadczył, że umiera poprostu z głodu i pragnienia. Z mej strony zapewniłem go, że konam również... z pragnienia i głodu. Odbyliśmy więc naradę. Wkrótce zapadło postanowienie, przyjęte ze wzruszającą jednomyślnością: mieliśmy udać się do wsi, zaopatrzyć się tam w duży koszyk, koszyk napełnić jadłem i flaszkami z napojem, wreszcie zaś wszyscy trzej: koszyk, ja i Leon mieliśmy przybić do której z bardziej zadrzewionych wysepek.

W dwadzieścia minut — pozostało nam już tylko wyszukać łodzi. Względy uprzejmości skłoniły mię do zajęcia się koszykiem; mówię: ko-

szykiem, lecz określenie to doprawdy wydaje mi się zbyt skromne. Leon szedł na przodzie, zagadując każdego rybaka o przewóz. Wszystkie łodzie były na wsi. Miałem już zamiar wystąpić z propozycją spożycia zapasów na kontynencie, gdy wymieniono nam przewoźnika, który miał, według wszelkiego prawdopodobieństwa, żądaniu naszemu zadość uczynić.

Przewoźnik mieszkał na końcu wsi, zajmując narożną chatkę. Przypadek zrządził, że, skręcając właśnie, na samym rogu spotkaliśmy się znów oko w oko z panną Antoniną i jej wielbicielami. Jeden z nich, na podobieństwo moje, uginał się pod brzemieniem wielkiego kosza; drugi miał, w rodzaju Leona, wyraz zakłopotania na twarzy, właściwy człowiekowi, który czas trawi na daremnych poszukiwaniach. Obrzuciłem litosnem spojrzeniem zziajanego biedaka. Leon zaś zdawał się wyrażać mi nieme dzięki za mój koszyk, który budził złośliwy uśmiech na ustach młodej niewiasty.

Przewoźnik stał na progu chaty, paląc łajkę. Od pięćdziesięciu lat już tysiące par zgłaszało się doń o najem łodzi celem przejazdu do ustronia. Lubił te jasnowłose dziewczęta, ruszające w drogę w starannie odprasowanych sukienkach, które za powrotem posiadały zwykle liczne ślady zmięcia i nieładu... Uśmiechał się, gdy dzięko-

wały mu za jego znajomość wysp o trawach niezwykle bujnych...

Widząc kosze, dobroduszny człowiek zwrócił się do nas bez pytania.

— Moje dzieci, — rzekł, — ponieważ mam tylko jedną łódkę, więc ci, komu głód zbytnio dał się we znaki, muszą pozostać tu pod drzewami.

Zdanie to było bardzo niezręczne: niepodobna wyznać przecież wobec kobiety, — że nam głód zbytnio dokucza... Niezdecydowani — zamilkliśmy na chwilę, widząc niepodobieństwo odmowy przejazdu. Lecz Antonina, nie tracąc dobrego humuro, ulitowała się nad nami.

— Ci panowie, — rzekła, zwracając się do Leona, — ustąpili nam już dziś rano z drogi, ustąpmyż więc my im obecnie.

Rzuciłem okiem na mego filozofa. Wahał się, bełkocząc coś niewyraźnego, jak człowiek, który krępuje się myśl swą określić jasno. Spojrzenie moje dodało mu widocznie bodźca, gdyż rzekł z ożywieniem:

— Przy odrobinie poświęcenia — wystarczy nam w zupełności jedna łódka. Zostawicie nas państwo na pierwszej spotkanej wysepce, a za powrotem zabierzecie znów ze sobą. No, jakże, zgoda, panowie?

Antonina pośpieszyła wyrazić swą zgodę. Koszyki złożone zostały z całą pieczołowitością

w głębi łodzi. Usiadłem tuż obok nich, jaknajdalej od wioseł. Antonina i Leon; nie mogąc zapewne inaczej, usiedli jedno przy drugiem na pozostałej wolnej ławeczce. Co do wielbicieli, walczących o lepsze humorem i uprzejmością, — chwycili oni zgodnie za wiosła.

Wypływając na środek koryta, wioślarze zdali się na łaskę prądu z wyraźnym zamiarem oszczędzenia sobie pracy. Lecz panna Antosia oznajmiła, iż w górę rzeki wyspy będą cienistsze i bardziej odosobnione... Panowie spojrzeli po sobie z przykrością, zawrócili łódź i poczęli mozolnie robić wiosłami, walcząc z silnym w tem miejscu prądem. Istnieje pewien rodzaj ciężkiej, lecz słodkiej zarazem tyranji, — a jest nią życzenie różanych ust, które zażądać mogą świata całego — za jeden pocałunek...

Dziewczyna pochyliła się nieco, zanurzając rękę w nurt. Wyjęła ją pełną wody i marzącym wzrokiem zdawała się liczyć perliste krople, ściekające między palcami. Leon w milczeniu spoglądał na tę czynność, czując się niezręcznie w tak blizkiem sąsiedztwie zaklętego wroga... Dwukrotnie nawet otworzył usta, aby wystąpić z jakimś żartem, lecz, strapiony mym uśmiechem, mitygował się szybko. Pozatem ani jedno, ani drugie nie zdawało się przykładać wielkiej wagi do swego sąsiedztwa. Odwróceni byli nawet od siebie cokolwiek bokiem.

Antonina, uprzykrzając sobie dalsze moczenie koronek, poczęła opowiadać mi o wczorajszem strapieniu. Pocieszyła się już nieco, lecz trochę smutku zostało jej jeszcze w duszy... W lecie nie mogła poprostu żyć bez miłości. Nie wiedziała zupełnie co czynić do jesieni....

— Szukam sobie gniazdka, — dodała. — Pragnę je mieć wybite błękitnym jedwabiem. Gdy meble, kobierce i kotary są barwy niebios, — miłość trwalszą być musi... Słońce zapomni się tam o zmierzchu, przyjmując wszystko za jeden obłoczek... Lecz myślę, że próżno marzę. Mężczyźni są ostatnie szelmy!

Znajdowaliśmy się właśnie obok wyspy, poleciłem więc wioślarzom skierować ku niej łódkę. Lecz, ledwie postawiłem nogę na ziemi, Antonina uznała wysepkę za wstrętną i pozbawioną zieleni, oświadczając, że nigdy w życiu nie pozwoli wylądować nam na podobnej skale. Leon nie ruszył się nawet z miejsca. Popłynęliśmy dalej w górę rzeki.

Dziewczyna z dziecięcą radością poczęła opisywać wymarzone gniazdko. Pokój ma być kwadratowy. Sufit wysoki, sklepiony. Obicia białe, usiane bławatkami, powiązanemi w bukiety kawałkiem wstążeczki. Na czterech rogach stać będą żardinjery z kwiatami, pośrodku zaś stół, również kwiatami przybrany. Następnie kanapka

niewielkich wymiarów, tak aby dwie osoby, siedząc razem, czuły się nieco przyciasno... Żadnych luster, które rozpraszają uwagę w zalotach. Dywany i kotary muszą być grube — aby tłumić szmer pocałunków. Kwiaty, kanapa, dywany i kotary będą błękitne. Antonina — ubrana w błękitny strój, a w dni pochmurne okno ma być zupełnie zasłonięte.

Chciałem przyczynić się nieco do ozdobienia pokoju. Zacząłem więc mówić o kominku, zegarze, szafce...

— Ależ, — przerwała mi szybko, — na żadne wygrzewanie się przy kominku nie będzie czasu! Pańska szafa równie komiczną mi się wydaje! Czy masz mię pan za tak głupią, że sądzisz, abym do gniazdka mogła się tłoczyć z całą nędzą istnienia? Pragnę żyć swobodnie, nieskrępowana żadnemi banalnemi troskami, — rozumie się nie całe życie, lecz chociaż parę godzin każdego wieczora tego roku. Gdyby mężczyźni byli aniołami, — sprzykrzyłby im się wkrótce nawet Bóg-Ojciec... Znam się ja na tem! Klucz od raju będę nosiła zawsze przy sobie.

Zajaśniała przed nami zielenią druga wysepka. Antonina klasnęła w dłonie. Było to najcudniejsze ustronie, o jakiem marzyć mógł chyba tylko Robinson w dwudziestym roku życia. Wzniesione cokolwiek, wybrzeża zarosłe były

wielkiemi drzewami, śród których dzikie róże i chwasty walczyły o lepsze. Nieprzebyta ściana piętrzyła się z każdem nadejściem wiosny, ściana z liści, konarów, mchów, powiększona jeszcze własnem odbiciem w zwierciadle wód.

O ile nazewnątrz wysepka tworzyła zator splątanych gałęzi, — to wnętrze jej było zupełną zagadką. Domniemane polanki oraz olbrzymie kotary rozchwianej na wietrze zieleni, których żadna ręka uchylić nie była w stanie, — czyniły wyspę tajemniczem ustroniem, a przypadkowy widz skłonny był w wyobraźni zaludnić je bla=demi postaciami syren...

Dość długo krążyliśmy u wybrzeży tej olbrzy=miej wiązanki zieleni, nie mogąc znaleźć odpo=wiedniej przystani. Można było przypuszczać, że wyspa nie życzy sobie znać nikogo, prócz pta=ctwa. Wreszcie udało nam się wylądować pod osłoną wielkiego krzaku, wystającego nad wodą. Antonina towarzyszyła nam wzrokiem i wyciąga=ła szyję, usiłując zajrzeć w głąb.

Jeden z wioślarzy, przytrzymujący łódź na miejscu, wypuścił niespodzianie z ręki nadbrzeż=ną gałęź. Dziewczyna, czując się unoszoną, wy=ciągnęła ramię i chwyciła szczęśliwie za wysta=jący korzeń. Poczęła szybko przyciągać łódź do brzegu, wołając pomocy i oznajmiając, że dalej nie chce jechać za nic na świecie. Gdy wioślarze

dobili ponownie do brzegu, Antonina wyskoczyła na trawnik i złączyła się z nami, zarumieniona...

— Nie obawiajcie się, panowie, — rzekła zaraz na wstępie, — nie myślę was krępować, jeśli macie zamiar udać się na północ — my zawrócimy na południe!

IV

Wziąłem znów koszyk do rąk i z całą powagą zacząłem poszukiwania miejsca, o ile można jaknajsuchszego. Leon szedł za mną, mając z tyłu Antoninę oraz obu jej wielbicieli. W ten sposób okrążyliśmy całą wysepkę. Wróciwszy do pierwotnego punktu wyjścia, usiadłem na ziemi, postanawiając zaniechać dalszych poszukiwań. Antonina zrobiła jeszcze kilka kroków, zdając się wahać, wkońcu zaś usiadła naprzeciw mnie. Znajdowaliśmy się na północnej stronie, ona zaś tymczasem ani myślała iść na południe. Leon uznał miejscowość za śliczną i oznajmił, że trudno żądać lepszego wyboru.

Nie umiem, doprawdy, powiedzieć w jaki to sposób się stało, lecz kosze znalazły się jeden przy drugim, a zapasy żywności, wyjęte na trawę, tak się pomieszały, że niepodobna było określić co do kogo należy. Jedliśmy więc przy wspólnym stole, dzieląc sprawiedliwie każdą potrawę.

Obaj wielbiciele śpiesznie zajęli miejsca po

bokach towarzyszki, uprzedzając we wszystkiem jej życzenia. Każdy żądany przedmiot, otrzymywała zawsze dwa razy! Jadła jednak z ogromnym apetytem.

Leon zaś, naodwrót, spożywał niewiele, podziwiając naszą żarłoczność. Siedząc z konieczności przy moim boku, milczał prawie, krzywiąc się tylko drwiącym grymasem za każdym razem, gdy Antonina uśmiechnęła się do swych sąsiadów. Przyjmując kąski z obu stron, dziewczyna wyciągała dłonie na prawo i lewo z równą uprzejmością, powtarzając za każdym razem słodkim głosem wyrazy podziękowania. Patrząc na to, Leon robił mi znaki, których jednak nie mogłem zrozumieć.

Bezwarunkowo Antosia była dnia tego niesłychanie powabną. Mając nóżki złożone pod sukienką, ginęła prawie śród traw. Poeta porównałby ją do olbrzymiego kwiatu, obdarzonego władzą spojrzeń i uśmiechów. Istota, tak prosta zwykle w obejściu, miała teraz ruchy omdlewające, w głosie zaś zalotność, której dotychczas u niej nie dostrzegałem. Wielbiciele, zmieszani nieco jej uprzejmością, spoglądali po sobie z tryumfującym wyrazem twarzy. Zdumiony tą niespodzianą kokieterją, chwytając od czasu do czasu złośliwy uśmieszek Leona, zadawałem sobie pytanie: komu z nas przypadł w udziale zaszczyt

przemiany tej prostej dziewczyny w przebiegłą filutkę?

Trawnik poczynał przerzedzać się stopniowo z żywności. Śmiano się coraz więcej, mówiono coraz mniej. Leon co chwila zmieniał miejsce, nigdzie zapewne nie czując się zupełnie dobrze. Widząc, że przybrał znów swój złośliwy uśmiech twarzy, zaniepokoiłem się nieco i zwróciłem na towarzyszkę błagalne spojrzenie, prosząc o wybaczenie mi tak zgryźliwego przyjaciela. Lecz była to dzielna dziewczyna: pomimo całej powagi — dwudziestoletni nasz filozof nie wyprowadził jej bynajmniej z humoru.

— Widzę, że pan czegoś smutny, — zwróciła się do Leona, — wesołość nasza nie na rękę mu może? W takim razie przepraszam, gotowa jestem uspokoić się zaraz.

— Bynajmniej, proszę śmiać się dowoli. Jeśli siedzę milczący, to chyba jedynie dlatego, że nie potrafię rozmawiać wesoło, jak ci panowie.

— Czy to ma znaczyć, że Pan się nie uważa za pochlebcę? Proszę mówić zupełnie poważnie. Słucham pana, gotowa jestem na najsurowsze słowa prawdy.

— O, proszę pani, kobiety nie lubią tego. A przytem... gdy są jeszcze młode i piękne, — cóż by im tu skłamać takiego można, co by nie było prawdą?

— Widzę, że dworak z pana nie gorszy od innych. Zmusza mię pan nawet do rumieńców. Gdy jesteśmy nieobecne, dobre wy psy wieszać umiecie na nas, panowie mężczyźni! Lecz niech tylko która stanie przed wami, nie możecie po‑prostu znaleźć dość uniżonych ukłonów i czułych słówek. Wszystko to obłuda! Ja tam jestem przy‑najmniej szczera, i mówię otwarcie: jesteście ga‑monie, panowie mężczyźni, nie umiecie nawet ko‑chać porządnie! No, proszę, niech pan teraz wy‑powie się z całą swobodą. Cóż pan może powie‑dzieć o kobietach?

— Czy mam być zupełnie szczery?

— Bezwarunkowo!

— A nie obrazi się pani?

— Nigdy! uśmieję się najwyżej.

Leon zabrał się do kazania. Znając już jego poglądy, które słyszałem ze sto razy, zacząłem dla rozrywki zabawiać się rzucaniem do rzeki ma‑łych kamyków.

— Kiedy Bóg, — zaczął Leon, — spostrzegł, że do całokształtu tworów brakuje jeszcze jednej istoty, zawahał się skąd wziąć niezbędny na ten cel materjał, aby naprawić swój mimowolny błąd, — a zawahał się tem głębiej, że wyczerpał już był do szczętu wszelką materję. Z koniecz‑ności wypadło tedy zwrócić się po nią do istnie‑jących już stworzeń. Odjął więc każdemu zwie‑

rzęciu potrosze jego ciała, a z ułamków tych: ze żmiji, wilka, jastrzębia, — ulepił kobietę. Tak więc, mędrcy, posiadający wiadomość o tym fakcie, przez Biblję zgoła pominiętym, nie okazują żadnego zdziwienia, widząc kobietę fantastką na łasce zmiennego usposobienia, widząc ją, słowem, wiernem odbiciem tych wszystkich różnorodnych pierwiastków, jakie na utworzenie się samej istoty zostały użyte. Każde stworzonko dało kobiecie swe wady, — stąd jej obłudne pieszczoty, zdrady, rozwiązłość.

Można było przypuścić, że Leon wydaje nauczoną lekcję. Umilkł na chwilę, przygotowując się do dalszego ciągu. Antonina biła brawo.

— Kobiety, — ciągnął mówca, — rodzą się lekkomyślne i zalotne taksamo, jak się rodzą brunetki czy blondynki. Oddają się z pobudek samolubnych, bez żadnego wyboru. Głupiec, o pospolitej błazeńskiej urodzie, zyska zawsze ich względy. Niech będzie jednak tylko szczery i uczciwy, rozumny bez rozgłaszania tego po wszystkich rogach ulic, — nie dostrzegą nawet jego istnienia! Zawsze i we wszystkiem kobiety poszukują tylko błyskotliwych zabawek: zarówno jedwabnych sukienek, naszyjników, klejnotów — jak i farbowanych, elegancko uczesanych kochanków. Co się tyczy mechanizmu zabawki — wszystko im jedno, czy jest lepszego lub gorsze-

go gatunku. Dusza nic je zupełnie nie obchodzi. Znają się tylko na czarnych włosach, namiętnych ustach, lecz na zaletach serca — nigdy, przenigdy. W ten sposób — padają w ramiona pierwszego gamonia, który zdobył ich zaufanie wielkiemi pozorami. Kochają go, bo im się tak podoba! Podoba im się dlatego, że im się podoba! Pewnego dnia cymbał źle się z niemi obejdzie,— wówczas zaczynają się narzekania, zawiedziona wpada w rozpacz, głosząc wszem wobec, że mężczyzna nie potrafi nawet dotknąć serca kobiecego, aby je zaraz nie zranić. Warjatki! Czemu nie zwrócą się z poszukiwaniem miłości tam, gdzie znaleźć ją mogą naprawdę?

Antonina biła brawo. Znana mi przemowa kończyła się zwykle w tem miejscu. Leon wyrecytował ją jednym tchem, jakby śpiesząc się. Po ostatniem zdaniu spojrzał na sąsiadkę wzrokiem nieco rozmarzonym. Następnie dodał, ale już bez poprzedniego patosu:

— Raz tylko posiadałem serdeczną przyjaciółkę. Miałem lat dwanaście, ona zaś dziesięć zaledwie. Pewnego dnia jednak zdradziła mnie dla jakiegoś doga, który pozwalał się męczyć ile wlezie, nie szczerząc nawet zębów. Spłakałem się porządnie i poprzysiągłem sobie nie kochać więcej. Przysiędze tej jestem wierny. Nie chcę słyszeć o kobietach. Gdybym kochał, musiałbym być

zazdrosny i zgryźliwy. Kochałbym zanadto, wzbudzając w ten sposób jedynie nienawiść. Zostałbym zdradzony, przypłacając to życiem...

Umilkł, napróżno usiłując wywołać uśmiech na usta. Oczy mu zwilgotniały. Antonina nie mizdrzyła się już, słuchając z uwagą. Następnie wstała, spojrzała Leonowi prosto w oczy i, kładąc mu dłoń na ramieniu:

— Ależ dziecko z pana! — rzekła poprostu.

V

Ostatnie promienie zachodzącego słońca lśniły na rzece, czyniąc z niej wstęgę złotego jedwabiu. Oczekiwaliśmy jeszcze na pierwsze gwiazdy, aby odpłynąć z biegiem wody podczas wieczornego chłodu. Przeniesiono kosze do łodzi, następnie pokładliśmy się na trawniku, gdzie kto uznał za najwygodniejsze.

Antonina z Leonem umieścili się pod wielkim krzakiem dzikiej róży, której ramiona wyciągały się tuż nad ich głowami. Zielone gałęzie zakrywały ich niemal. Zwróceni byli do mnie plecami, — niepodobna więc określić, jak im czas upływał: na śmiechu, czy na płaczu. Mówili cicho, kłócąc się zlekka jakoby. Co do mnie — wybrałem sobie niewielką wyniosłość, skąd mogłem widzieć niebiosa i trawę, u stóp mych rosnącą. Obaj galanci, oceniając widocznie zalety mego legowiska, położyli się obok: jeden po prawej, drugi — po lewej stronie.

Z sytuacji swej wyciągnęli tę korzyść, że obaj mogli mówić do mnie jednocześnie.

Leżący po lewej stronie, widząc chwilami, że nań nie zwracam uwagi, potrącał mię delikatnie za ramię.

— Panie, — przekładał, — rzadko udało mi się spotkać istotę kapryśniejszą od panny Antoniny. Nie uwierzy pan, jak jej główka zmienia się za najlżejszym powiewem. Aby dać przykład, powiem, iż wybieraliśmy się dziś rano obiadować o dwie mile od tej wysepki. Zaledwie jednak zginęliście nam panowie z oczu, Antonina kazała zawrócić z drogi, utrzymując, że miejscowość ta przypadła jej do gustu. Poprostu zwarjować można! Wie pan, co do mnie, — lubię rzeczy bardziej zrozumiałe.

Towarzysz z prawej strony mówił jednocześnie, zmuszając mię do słuchania:

— Od rana już chciałem z panem pomówić na osobności. Ja i kolega — uważamy sobie za obowiązek złożyć panu pewne wyjaśnienia. Wielka sympatja pańska dla panny Antoniny nie uszła naszej uwagi, żałujemy też mocno, iż wypadło nam sparaliżować pańskie zamiary. Gdybyśmy byli o miłości jego wiedzieli tydzień temu, — usunęlibyśmy się bezwarunkowo, aby nie przyczynić najmniejszego zmartwienia człowiekowi tak dystyngowanemu. Dziś jednak jest już cokolwiek zapóźno: nie czujemy poprostu sił do podobnego poświęcenia. Niech mi przytem wolno będzie

wypowiedzieć się otwarcie: Antonina mię kocha! Oświadczam to panu i — jestem na jego rozkazy!

Pośpieszyłem rozwiać przypuszczenia młodzieńca pod tym względem. Lecz, nie zważając na me najbardziej energiczne upewnienia, iż nigdy nie byłem ani nie mam zamiaru zostać kochankiem Antoniny, — człowiek ten nie zaniechał bynajmniej prawić mi najczulszych słów otuchy. Zbyt słodką, zaiste, była mu widać myśl o porwaniu mi kochanki...

Pierwszy, zgorszony uwagą, jaką zaszczycałem towarzysza, nachylił się ku mnie. Aby mię skłonić na swoją stronę, — wystąpił odrazu z poważnem zwierzeniem.

— Będę z panem zupełnie szczery, — rzekł.— Antonina mię kocha! Głęboko współczuję reszcie wielbicieli...

W tej chwili uszu mych doleciał szczególny szmer. Szmer ten spłynął z krzewu, pod którym umieścili się Leon z Antoniną. Nie byłem pewny, czy to pocałunek, czy pisk spłoszonej mewy...

Tymczasem sąsiad z prawej strony podsłuchał sąsiada z lewej na zwierzeniach co do wzajemności Antoniny. Uniósł się, spoglądając groźnym wzrokiem. Wyślizgnąłem się między nimi i chyłkiem wlazłem w zarośla, które ukryły mię z przed ich oczu. Rywale znaleźli się oko w oko.

Zarośla okazały się doskonałe. Widziałem

stamtąd Antoninę i Leona, nie mogąc tylko dosłyszeć rozmowy. Kłótnia trwała jeszcze, lecz młodzi zdawali się być jakby więcej zbliżeni. Co do obu rywali, — znajdowali się na wyniosłości, skąd rozmowa dochodziła zupełnie wyraźnie. Ponieważ dziewczyna siedziała zwrócona do nich plecami, — mogli dać niepohamowany upust swej wściekłości.

— Pańska akcja na nic się nie zdała, — mówił jeden. — Od dwuch dni powinieneś pan był się już usunąć! Nie widzi pan tego wyraźnie? Antonina przecież skłania się w moją stronę!

— Doprawdy, nie widzę tego jakoś wcale, — rzekł drugi. — Jesteś pan o tyle śmieszny, że przywłaszczasz sobie poprostu uśmiechy i spojrzenia, przesyłane pod moim adresem!

— Bądź pan pewny, drogi panie, że Antonina jest we mnie zakochana!

— Bądź pan pewny, szczęśliwcze, że we mnie!

Spojrzałem na Antoninę, i — upewniłem się, że w zaroślach nie było żadnej mewy...

— Nudzi mię już to wszystko, — ciągnął jeden z wielbicieli. — Nie podziela pan mego zdania, że już najwyższy czas, aby jeden z nas usunął się zupełnie?!

— Chciałem panu zaproponować poderżnięcie sobie gardła! — odparł drugi.

Obaj podnieśli głos, — gestykulując silnie, to

wstając, to siadając w irytacji na miejscu. Dziewczyna spostrzegła rosnący hałas, i odwróciła głowę. Opanowało ją zdumienie, na ustach błysnął uśmiech. Zwróciła też uwagę Leona na młodych ludzi, ten zaś szepnął jej kilka słów, które stały się pobudką do wspólnej wesołości.

Leon wstał i, prowadząc towarzyszkę, skierował się ku wybrzeżu. Tłumiąc wybuchy śmiechu i unikając staczania kamyków, oboje posuwali się naprzód. Zdawało mi się, że chcą znaleźć sobie schowanko i zmusić nas w ten sposób do poszukiwania.

Obaj galanci darli się coraz głośniej. W braku szpad szykowal pięście. Tymczasem Leon dostał się już do łodzi. Umieścił w niej Antoninę i z całym spokojem począł rozwiązywać sznury. Następnie skoczył do środka.

Kiedy już jeden z rywali podniósł rękę na przeciwnika, — ujrzał naraz łódź na rzece. Osłupiały, zaniechał przygotowanego ciosu — ukazując widok ten towarzyszowi.

— Proszę, proszę bardzo! — wołał, lecąc do brzegu, — co mają znaczyć te żarty?

O mnie, ukrytym w zaroślach, zapomniano zupełnie. Tak to zarówno szczęście jak niedola czynią z ludzi samolubów. Wstałem.

— Panowie, — rzekłem do biednych, osłupia-

łych i wystraszonych cymbałów, — czy nie przychodzi wam na myśl pewna bajeczka?

Żarty te znaczą co następuje: gdzie dwuch się bije, — tam trzeci korzysta.

— Doskonałe porównanie, — zawołał Leon.

Antonina objęła go uściskiem i pocałunek zagłuszył dalsze słowa.

— Bracia, — rzekłem, zwracając się do towarzyszy niedoli, — zostaliśmy bez zapasów żywności i bez dachu nad głową. Zbudujmy więc szałas, karmiąc się korzonkami, w oczekiwaniu na okręt, który raczy uwolnić nas z samotnej wyspy!...

VI

Cóż dalej?

Bo ja wiem co dalej? Dwa miesiące już Antonina z Leonem żyją w błękitnem gniazdku. Dziewczyna pozostała zawsze miłą i zacną istotą, Leon zaś złorzeczy rodowi niewieściemu z większym jeszcze zapałem, niż poprzednio.

Kochają się bardzo...

K O N I E C

Tłomaczył Wacław Widigier

SPIS RZECZY